

# Relacje Interpretacje

ISSN 1895-8834

Kwartalnik Regionalnego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej

Nr 2 (74) czerwiec 2024



- Tradycyjne nuty na żywieckim Rynku
- 70 lat Zespołu Pieśni i Tańca Beskid
- Otylia Toboła i Jacek Piekietko o swoich książkach
- Teatralne życie Bielska-Białej



Hej, na żywieckim Rynku...





## Okladka

Dziewczęta z Zespołu Pieśni i Tańca Beskid  
w strojach bielskich, 1978  
📷 Archiwum ZPiT Beskid

## Wkładka

54. Festiwal Folkloru Górali Polskich  
📷 Szymon Karpiński



Płyty CD dokumentujące 53. i 54. FFGP  
🎵 Wiesław Łysakowski

## Muzyka

**I** Przekazać ślad  
**Agnieszka Chrudzimska**

## Sztuka

**4** Pokój  
**Agata Smalcerz**



Michał Slezkin, Witryna, 2014  
📷 Szymon Rogiński

**8** Prawo do marzeń o mieście  
**Ada Piekarska**

## Jubileusze

**II** Beskid i reszta świata  
**Lech Kotwicz**



## Kultowe Bielsko-Biała

**15** Więcej niż samochód  
**Łukasz Giertler**

Logo wyprawy maluchami na Kaukaz  
📷 Ze zbiorów Wiesława Głowackiego

Antygona w Teatrze Lalek Białaluka  
📷 Dorota Koperska



# Relacje Interpretacje

Kwartalnik Regionalnego  
Ośrodka Kultury  
w Bielsku-Białej  
Rok XIX nr 2 (74) czerwiec 2024

Adres redakcji  
ul. 1 Maja 8  
43-300 Bielsko-Biała  
telefony  
33 822 16 96  
507 482 634

redakcja@rok.bielsko.pl  
www.ri.art.pl

f /RelacjeInterpretacje

Redakcja  
Agnieszka Miklar  
redaktor naczelna

Projekt typograficzny,  
opracowanie graficzne, DTP  
Mirosław Baca

Wydawca  
Regionalny Ośrodek Kultury  
w Bielsku-Białej

Dofinansowano z budżetu  
Miasta Bielsko-Białej

Druk  
Augustana, Bielsko-Biała  
Nakład 1000 egz.

Czasopismo bezpłatne  
ISSN 1895-8834

Archiwalne numery RI dostępne na  
www.ri.art.pl

Regionalny  
Ośrodek  
Kultury  
Bielsko-Biała



Województwo  
Śląskie

Regionalny Ośrodek Kultury  
w Bielsku-Białej jest instytucją kultury  
Samorządu Województwa Śląskiego



## Bielsko-Biała. Ludzie i budowle

**18** Gross, Fränkel, Reich...  
**Piotr Kenig**

## Spółeczności-tożsamości

**22** Pod okiem Marcina Lutra  
**Krzysztof Cienciąła**

## Rozmowy

**25** Wspomnienia, które trzeba  
zachować  
**Z Otylią Tobołą**  
rozmawiała **Danuta Branna**

**29** Wywołać dreszcz  
**Z Jackiem Piekietko**  
rozmawiała **Kinga Kościak**

## Teatr

**33** W teatrach wojna trwa  
**Magdalena Legendź**

## Galeria/Wkładka

**Hommage à Tadeusz Modrzejewski**



📷 Piotr Bieniecki

Agnieszka  
Chrudzimska



## Przekazać ślad

W letni, sobotni poranek żywiecki Rynek niespiesznie zapełnia się ludźmi. Słońce osusza resztki porannej rosy z placu. Miną jeszcze ze dwie godziny, zanim zaczną dokuczać, rozlewając się bezlitosnym żarem po betonowej nawierzchni. Na razie jednak jest przyjemnie. Po jednej stronie Rynku ruch jest bardziej wzmożony. Co rusz słychać brzęk aluminiowych części konstrukcji i pokrzykiwania. To kreuje się scenografia do jednego z najpiękniejszych w tym miejscu widowisk – Festiwalu Folkloru Górali Polskich, który trwać będzie aż przez cztery dni w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej.

📷 Szymon Karpiński

Do ekipy Grzegorza Studenckiego, odpowiedzialnego za realizację dźwięku, dołącza po chwili Arkadiusz Wiech, który będzie nagrywał wszystkie płynące ze sceny melodie. Pojawiają się również organizatorki całego widowiska: Agnieszka Chrudzimska, Barbara Rom i Aneta Brasse, skrywające się na czas jego trwania za białym namiotem, a także konferansjerzy: Anna Tomiak i Dawid Stasica, ułajający czas pomiędzy występami publiczności. Zza rogu wyłaniają się członkowie komisji. Uśmiechnięci, serdecznie witają się ze wszystkimi, po czym zasiadają za stołami, zawsze w tym samym porządku: Przemysław Ficek, Aleksander Smaga, Zbigniew Wałach, Krzysztof Trebunia-Tutka, Anna Borucka-Szotkowska, Katarzyna Pach-Sznapka.

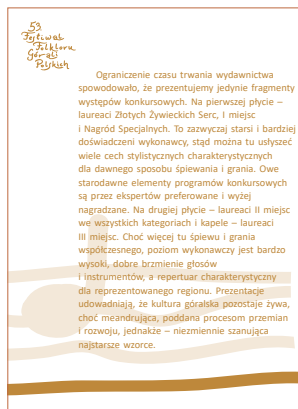
### Agnieszka Chrudzimska

– absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego, pracuje w bielskim ROK-u w dziale imprez, współorganizuje FFGP na żywieckim Rynku.

Wreszcie, z każdej strony Rynku, stopniowo napływają najważniejsi bohaterowie festiwalu – to przyjeżdżający z najrozmaitszych miejsc w polskich Karpatach śpiewacy i instrumentalści. Przybywają, by wystąpić solo, wraz ze swymi uczniami bądź jako grupa czy kapela. Ich zróżnicowana gwara oraz mnogość wielobarwnych, nieraz obficie zdobionych strojów w pełni korespondują z bogactwem prezentowanego repertuaru, tak muzycznego, jak i wokalnego.

Komisja oraz zgromadzona na żywieckim Rynku publiczność z uwagą obserwują i wysłuchują występujących. Niezwykła odpowiedzialność spoczywa teraz na realizatorze i rejestratorze dźwięku. Obaj w skupieniu obserwują czarne, migające światełkami pulpity. Efekty ich pracy to nie tylko doskonale słyszalne słowa i nuty, ale także zapis audio – nieoceniony dokument etnomuzykologiczny i etnograficzny, oraz pamiątka po wyjątkowym widowisku, jakim niewątpliwie jest Festiwal Folkloru Górali Polskich.

Koncerty na Rynku w Żywcu zaczęto rejestrować po pandemicznej, 51. edycji FFGP, kiedy to uczestnicy nadsyłali swoje prezentacje nagrane w domach bądź w ich pobliżu. W roku kolejnym dokonano więc zapisów audio, których zwieńczeniem była publikacja *Hej, pokiel góry stojom*, dostępna online i w postaci dwóch płyt CD.



Płyta *Nuty, nase nuty*

Jej wartość jest bezdyskusyjna. Dlatego wydawca, a zarazem główny organizator Tygodnia Kultury Beskidzkiej – Regionalny Ośrodek Kultury w Bielsku-Białej – podjął decyzję o kontynuacji serii i tworzeniu albumów po każdym FFGP. W rezultacie w kwietniu br. ukazały się kolejne wydawnictwa, prezentujące koncerty z 2022 oraz 2023 r. Są to *Nuty, nase nuty* i *Gronicki wy moje*.

Formuła publikacji, jak i forma ich dostępności są tożsame z pierwszą edycją. Obie mają złoto-białą oprawę wizualną, obie opatrzone są wstępem autorstwa Krzysztofa Trebuni-Tutki. Zarówno *Nuty, nase nuty*, jak i *Gronicki wy moje* są wydawnictwami dwupłytowymi.

W przypadku zapisu FFGP z 2022 r. na pierwszej płycie znajdują się prezentacje nagrodzone przez komisję Złotymi Żywieckimi Sercami oraz Nagrodami Specjalnymi (przyznawanymi nestorom w dowód uznania za ich wielopokoleniowy wkład w kultywowanie i propagowanie rodzimego folkloru), a także laureaci I miejsc we wszystkich konkursowych kategoriach. Drugi krążek zawiera z kolei wykonania nagrodzone II miejscem oraz prezentacje kapel, które zajęły III miejsca.

Możemy tu usłyszeć występujące coraz rzadziej, z racji wieku, śpiewaczki – Zofię Sordyl z Korbielowa czy Irenę Klimczak z leżącej na Śląsku Cieszyńskim Lesz-

nej Górnjej. Wspaniale brzmią również śpiewy pozostałych seniorek: Julianny Adamek, Anny Dunat oraz Anny Foi. Zachwycają wielogłosowe pieśni w wykonaniu grup śpiewaczych z Beskidu Śląskiego, Podhala i ze Spisza. Na pierwszej płycie to Ślebobdno nuta z Ratułowa, Śpiwoćki z dwóch dziedzin z Trójwsi Beskidzkiej, Młode Podhale z Nowego Targu, a także Młode Stare Baby z Jurgowa.

Co niezwykle istotne z punktu widzenia przekazu tradycji, pierwsza płyta zawiera aż sześć prezentacji mistrzów śpiewu oraz gry na instrumentach wraz z uczniami. W znaczącej mierze są to reprezentanci Żywiecczyzny – Karolina Bałaś z Żywca, ucząca gry na skrzypcach; Szymon Legut z Żabnicy, heligonista; Brygida Murańska z Bystrej, skrzypaczka; Brygida Sordyl z Żywca, ucząca śpiewu. Ponadto znaleźli się tu Paweł Czaja z Jabłonki na Orawie, skrzypek, jak również Maria Motyka z Koniakowa, śpiewaczka.

Na drugiej płycie przeważają młodszy wykonawcy. Może z tego właśnie powodu sprawia ona wrażenie nieco lżejszej, bo i tematyka podejmowana w pieśniach jest adekwatna do wieku artystów, głównie to miłość, zaloty, młodość. Większa niż na pierwszym krążku jest tu także liczba instrumentalistów. Szymon Kupczak wygrywa żabnickie polki, na skrzypcach grają natomiast

Niepowtarzalna atmosfera FFGP: kapela Kotelnica i Zuzanna Wandzel  
📷 Daniel Franek



Jakub Guzik z Juszczyna oraz Maciej Kubasiak z Suchej Beskidzkiej. W gronie tym znaleźli się również multiinstrumentaliści: Piotr Kukuczka z Koniakowa (na płycie można usłyszeć jego grę na trombicie) i Karol Wierciogroch z Miłówki (tu z heligonką).

*Gronicki wy moje* dokumentują 54. Festiwal Folkloru Górali Polskich. Pierwszy krążek, tradycyjnie już, koncentruje się wokół zdobywców Złotych Żywieckich Serc, Nagród Specjalnych oraz laureatów I miejsc. Na szczególną uwagę zasługuje tu bezkonkurencyjny, czuorny występ męskiej grupy śpiewaczej Podegrodzcy Chłopcy z Podegrodzia. Panowie nie tylko wspaniale śpiewają, ale też w sposób naturalny dialogują ze sobą, przygadują sobie nawzajem, co przydaje prezentacji lekkości i humoru.

Ponadto na płycie tej można usłyszeć aż trzech instrumentalistów grających na dudach bądź gajdach. Są to Jan Ryt z Suchej Beskidzkiej i Marcin Blachura z Żywca (Laureat Złotego Żywieckiego Serca w kategorii soliści multiinstrumentaliści) oraz Piotr Puszyński z Rajczy. Co więcej, na krążku znalazł się także występ kapeli Gajdosze z Zespołu Regionalnego Istebna z Istebnej, grającej w archaicznym składzie – gajdy, skrzypce.

Na drugiej płycie zdecydowanie dominuje bogactwo grup etnograficznych. Odnaleźć tu można bowiem prezentacje Górali Nadpopradzkich, Żywieckich, Śląskich, Babiogórskich, Szczawnickich, Czadeckich, jak również Podhalań, Orawian, Lachów Sądeckich, Lachów Limanowskich czy Lachów Szczyrzyckich.

Niezwykle unikatowy charakter ma zwłaszcza występ kapeli Muzyka Jaśka Kubika z Krościenka nad Dunajcem. Pieśni wychwalające uroki pienińskich szczytów, rozpościerających się z nich krajobrazów, czysto, z młodzińczą wręcz werwą intonowane przez 78-letniego Jana Kubika, okraszone pełną pogody muzyką skrzypiec i ba-

sów, poruszają w sposób malarski wyobraźnię, wywołują poczucie radości oraz wdzięczności. Niezmiernie cieszy także duża liczba mistrzów, tak instrumentalistów, jak i śpiewaków, którzy zaprezentowali się wraz ze swymi uczniami. W sumie na krążku jest ich aż dziewięć. Są wśród nich żabniccy heligoniści: Szymon Kupczak i Szymon Legut, skrzypkowie i skrzypaczki: Wojciech Kubasiak z Suchej Beskidzkiej, Eugeniusz Karkoszka z Lipnicy Wielkiej, Małgorzata Filary-Furowicz z Łodygowic i Paulina Kupczyk z Jaworzynki, a ponadto trzy mistrzyni śpiewu: Maria Motyka z Koniakowa, Anna Lassak z Krakowa oraz Agnieszka Sikora z Łodygowic.

Występy mistrzów Wojciecha Kubasiaka i Małgorzaty Filary-Furowicz należą do ostatnich, zamykających 54. Festiwal Folkloru Górali Polskich na żywieckim Rynku. Wtorkowe popołudnie jest chłodne i deszczowe, mimo tego liczne grono widzów dotrwało do końca, nagradzając obficie brawami kilkudniowe widowisko. To naprawdę smutny moment. Wszyscy żegnają się z żalem, że właśnie nastąpił finał, ale też z poczuciem miłej satysfakcji ze stworzenia, po raz kolejny, wartościowego przeglądu, który pozostawi po sobie trwałe ślad.

*Nuty, nase nuty* i *Gronicki wy moje* możliwie jak najpełniej dokumentują tradycyjną kulturę muzyczną polskich górali oraz atmosferę festiwalu. Słysząc na nich, poza śpiewem i grą na instrumentach, brawa publiczności, śmiech, rozmowy, szum pobliskich ulic. Warto wsłuchać się i poczuć tę naturalną aurę Rynku. A jeszcze bardziej – wybrać się tam i na własne uszy oraz oczy doświadczyć owych pięknych wrażeń. Najbliższa okazja nadarzy się już niebawem – od 27 do 30 lipca podczas 61. Tygodnia Kultury Beskidzkiej trwać będzie 55. Festiwal Folkloru Górali Polskich. Po prostu trzeba na nim być.

Z książeczek do płyt  
✎ Wiesław Łysakowski



Płyta *Gronicki wy moje*





Agata Smalcerz

# Pokój

Wystawa *Pokój* w Galerii Bielskiej BWA zestawia prace dwóch artystów młodego i średniego pokolenia: urodzonego w 1960 roku Michała Slezkina i młodszego o 28 lat Jacka Świdzińskiego, ale sięga też do pokoleń wcześniejszych. Prace odnoszą się do historii z lat tuż po II wojnie światowej, która fascynuje swoją złożonością i staje się kanwą dwóch wielowątkowych narracji.

*Państwa* Michała Slezkina to swoista gra z pamięcią, wypełniona figurkami postaci wymyślonych przez ojca artysty, Bohdana Slezkina. *Festiwal* Jacka Świdzińskiego to komiks oparty na faktach i archiwach, z realnymi i fikcyjnymi bohaterami. Ta historia rozgrywała się w Warszawie, jednak ma swoje odniesienia do Bielska-Białej.

W Warszawie w czasie II wojny światowej zamieszkał ze swoją matką Bohdan Slezkin, po ucieczce z zajętego przez wojska sowieckie Wołynia. Pochodzący z ziemiańskiej rodziny, kilkuletni chłopiec wypatrywał powrotu z jenieckiej niewoli swojego ojca, oficera ułanów walczącego w kampanii wrześniowej 1939 r. Jednak ten zginął z rąk NKWD, będąc jedną z 22 tys. ofiar mordu katyńskiego.

Odszkodnią od strasznej politycznej rzeczywistości była zabawa, którą Bohdan Slezkin stworzył wraz z kolegami ze szkoły (słynne Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie): Jurkiem Siewierskim, Leszkiem Szymańskim i Tadeuszem Strumffem. Wymyślili fikcyjne państwa, zamieszkałe przez narysowanych i wyciętych z papieru, mierzących pięć centymetrów ludzi. Chłop-



cy w tym wieku zwykle bawią się w wojnę ołowianymi żołnierzami, ale tu poziom był wyższy. To już nie byli tylko żołnierze; relacje między państwami wymagały not dyplomatycznych, wizyt na najwyższym szczeblu. Zwykła zabawa w wojnę, gdzie jedni żołnierze walczą z drugimi, zamieniła się w wyrafinowaną grę polityczną.

Wymyślając własne państwa, chłopcy nadawali im systemy ustrojowe znane z otaczającej ich rzeczywistości. Zjednoczone Materialistyczne Republiki Socjalistyczne Leszka Szymbańskiego były dyktaturą komunistyczną. Rzeczpospolita Polska Tadeusza Strumffa nawiązywała do przedwojennej Polski sanacyjnej. Cesarstwo Niam Niam Jerzego Kwiryna Siewierskiego było wzorowane na republikach bananowych, uzależnionych jako niedawne kolonie od wielkich mocarstw. Z kolei imperium Odrobinii Bohdana Slezkina, naśladujące Imperium Brytyjskie, inspirowane było *Podróżami Guliwera* Jonathana Swifta.

Z najwcześniejszego okresu zabawy zachowały się także gazetki, wykonywane przez Bohdana, wzorowane na „Żołnierzu” czy „Szpilkach”, z dużą dozą humo-

ru, ale w przeciwieństwie do ówczesnej propagandowej polskiej prasy, opisujące np. wizytę następcy tronu na egzotycznej wyspie lub obalenie rządu.

Jako potomka wielu wojskowych pokoleń siły zbrojne fascynowały Bohdana od dziecka. Nie mogąc wziąć udziału w wojnie z powodu zbyt młodego wieku (urodził się w 1932 r.), zaangażował się w harcerstwo, kontynuując po wojnie akcje „małego sabotażu” przeciw władzy komunistycznej. Po jego rozwiązaniu na przełomie 1948 i 1949 r. wraz z Waldkiem Nowakowskim i Andrzejem Ociepką założył nieformalną grupę wrogą komunizmowi. Uzdolniony plastycznie przygotowywał ulotki m.in. przypominające zlikwidowane święta 3 Maja i 11 Listopada, a także pisemko satyryczne „Kaktus”, w którym rysował karykatury ówczesnych przywódców polskich i radzieckich.

Za tę działalność został aresztowany w 1951 r. i skazany na pięć lat więzienia. Trafił m.in. do „więzienia progresywnego dla młodocianych przestępców antypaństwowych” w Jaworznie, gdzie w 1953 r. poznał 23-letniego wówczas Mieczysława Hańderka ze

Michał Slezkin i Jacek Świdziński w czasie wernisażu (na sąsiedniej stronie) oraz fragment ekspozycji *Pokój*  
 Krzysztof Morcinek

#### Agata Smalcerz

– historyczka sztuki, kuratorka wystaw, autorka tekstów o sztuce, dyrektorka Galerii Bielskiej BWA.



Z otwarcia wystawy  
w Galerii Bielskiej BWA  
Krzysztof Morcinek

Straconki, odsiadującego wyrok za udzielanie pomocy partyzantom. Wspólne poglądy oraz zainteresowania i zdolności artystyczne sprawiły, że zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Bohdan był ojcem chrzestnym córki Hańderka. Często się odwiedzali. Ich przyjaźń przetrwała do końca życia. Obaj po wyjściu z więzienia studiowali w Akademii Sztuk Pięknych: Slezkin w Warszawie na Wydziale Grafiki w latach 1955–1959, Hańderek w Krakowie na Wydziale Rzeźby, gdzie obronił dyplom w 1962 r. Mieczysław Hańderek, do śmierci w 2018 r., był jednym z najważniejszych rzeźbiarzy w Bielsku-Białej.

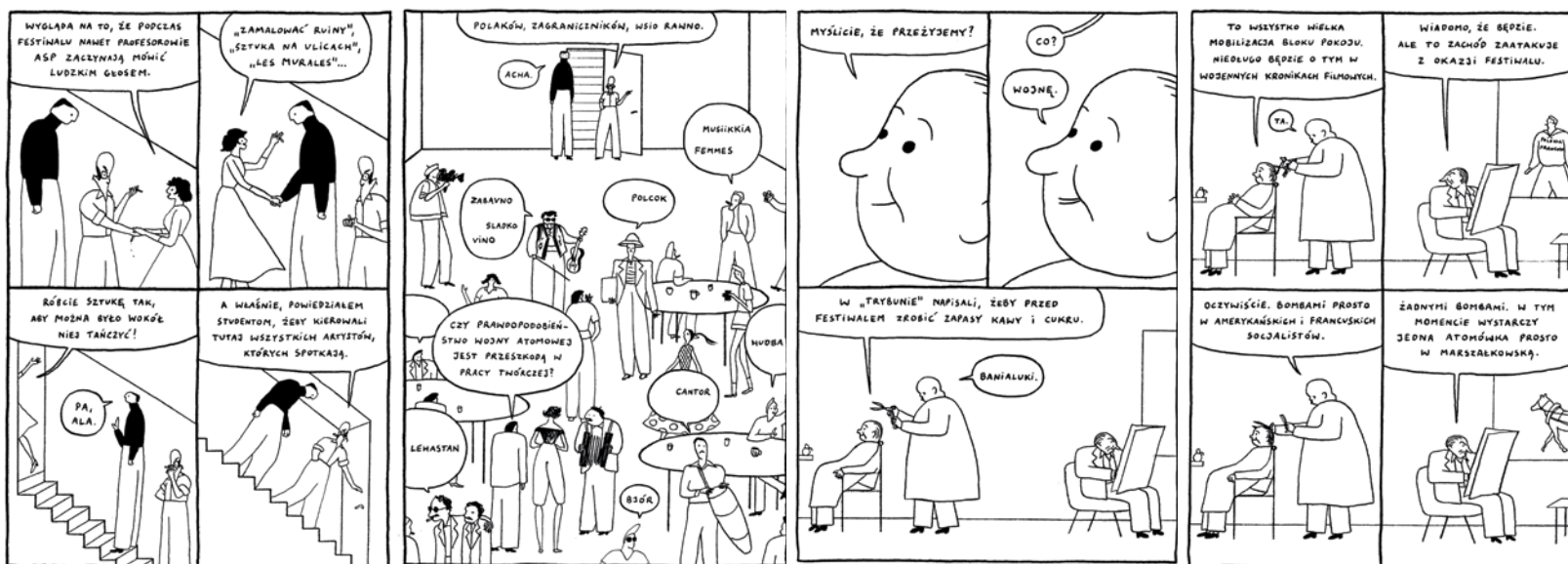
Bohdan Slezkin z więzienia wyszedł w czerwcu 1954 r. Tymczasem w Warszawie trwały przygotowania do Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów. Już po raz piąty Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej, pozarządowa organizacja uznawana przez ONZ i powołana w 1945 r. w Londynie, zwołała ogólnosiwiatowy zlot, któ-

ry miał stać się dowodem wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. Antyimperialistyczna organizacja początkowo była szeroką międzynarodówką grup lewicowych z całego świata<sup>1</sup>.

W 1955 r. do Warszawy (po Pradze w 1947, Budapeszcie w 1949, Berlinie w 1951 i Bukareszcie w 1953 r.) przyjechało ponad 26 tys. młodych ludzi ze 114 krajów świata ze wszystkich kontynentów, a z Polski – 140 tys. delegatów. Byli to przede wszystkim przodownicy i przodownice z różnych zakładów pracy, ale też artyści, tłumacze.

W wycinkach prasowych z tamtych lat przeczytać można, że w warszawskim festiwalu uczestniczyło sześciu delegatów i 150 uczestników z Bielska-Białej, a bielskie Liceum Technik Plastycznych przygotowało 10 tys. chust dla uczestników<sup>2</sup>. Z imienia i nazwiska znamy Annę Cieślę, 21-letnią wówczas delegatkę Cieszyńskich Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego,

Fragmenty  
Festiwalu Jacka Świdzińskiego



nagrodzoną wyjazdem na festiwal za to, że „przy swojej maszynie wyrabia przeciętnie 150% normy”.

Goście z zagranicy ulokowani byli w szkołach i akademikach. Dla Polaków zbudowano trzy tymczasowe miasteczka: na Grochowie, Bielanych i Rakowcu. Oddano do użytku Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina – według oficjalnej propagandy „dar Związku Radzieckiego dla Warszawy”, który miał zastąpić odrzucony kilka lat wcześniej plan Marshalla.

Pierwszego dnia festiwalu zainaugurowano Stadion Dziesięciolecia, na którym odbyła się defilada wszystkich zagranicznych gości. Warszawa przekształciła się ze zrujnowanego przez hitlerowców 10 lat wcześniej miasta-widma w światową stolicę młodzieży – wielojęzyczną, pełną radości, przyjaźni, muzyki, otwartą na różnorodność. Ruiny przykryto kolorowymi dekoracjami przygotowanymi przez znanych artystów: Wojciecha Fangora, Henryka Tomaszewskiego, Jana Młodożeńca. Różniły się one zasadniczo od wcześniej obowiązujących: zamiast monumentalnych portretów przywódców komunizmu i przodowników pracy z socjalistycznymi hasłami były nowoczesne, często abstrakcyjne formy, inspirowane kubizmem.

Po śmierci Stalina nastąpiło złagodzenie represji i twardej linii politycznej partii. To jeszcze nie odwilż 1956 r., ale w powietrzu czuć było zmiany. Internacjonalizm stał się jedną z akceptowalnych idei, zawiązały się międzynarodowe przyjaźnie. W ciągu 11 dni trwania festiwalu odbyła się niewyobrażalna dotąd liczba wydarzeń kulturalnych, sportowych, społecznych, integracyjnych.

Festiwal stał się kanwą powieści graficznej Jacka Świdzińskiego, jak nazywany jest jego komiks. Oparty na faktach i archiwach, z realnymi bohaterami: artystami Wojciechem Fangorem, Henrykiem Tomaszewskim i Alicją Szapocznikow, wzbogacony o postaci fikcyjne, lecz oparte na relacjach z festiwalu.

Nie wiadomo, czy Bohdan Slezkin obserwował wydarzenia festiwalowe. Dopiero co wyszedł z więzienia, miał 23 lata, próbował zarabiać na życie, korzystając ze swych zdolności plastycznych. Jesienią miał podjąć studia na Akademii Sztuk Pięknych. Rok później zaczął pracować w założonym przez dawnych kolegów z klasy czasopiśmie „Współczesność”, ilustrując teksty własnymi rysunkami.

Do zabawy w *Państwa* Bohdan Slezkin wrócił w latach 60. ubiegłego wieku wraz z Jerzym Siewierskim. Obaj mieli synów, których stopniowo wciągali w grę: Michała i Wojtka. Trwało to kilka lat, chłopcy wykazywa-

li się dużą kreatywnością, wprowadzając do gry współczesne elementy. Figurki Bohdana nadal były rysowane ręcznie, z wielkim artystyzmem i znajomością współczesnej mody, ale korzystał też z nowych technologii. Przy konstruowaniu figurek używał fotografii zarówno własnych, jak i wyciętych z gazet. Rozbudowana była sfera dyplomacji: wysyłanie oficjalnych listów z pieczęciami, wezwań, not. Wszystko to budowało niezwykłą więź między ojcami i ich dorastającymi synami.

Gra urwała się pod koniec lat 70. XX w., kiedy Michał Slezkin wyjechał do średniej szkoły plastycznej w Nałęczowie, a potem zaczął studia. Do figurek i innych elementów zabawy powrócił już w dorosłym życiu, po śmierci ojca<sup>3</sup>. Stworzył projekt, który nazwał grą w *Państwa*, traktując elementy odziedziczone po ojcu jako grę z pamięcią. Włączył tamte artefakty do swojej twórczości, przywracając zbudowane wówczas relacje do tworzenia nowych odniesień.

Zaprosił do gry swojego syna Alikę, budując sztafetę pokoleń, a także widzów uczestniczących w wystawach. Gra w *Państwa* miała już wiele prezentacji, m.in. na wystawie w Palais de Tokyo w Paryżu, BWA w Zielonej Górze czy warszawskich galeriach Piktogram i XS.

Na wystawie *Pokój* w Galerii Bielskiej BWA figurki Bohdana i Michała Slezkinów mają swoje *alter ego* w postaciach z powieści graficznej Jacka Świdzińskiego. W Bielsku-Białej figurki te, samodzielnie wycięte przez widzów, zapełniają specjalnie przygotowane plansze – bezludne wyspy. Różnice między jednymi a drugimi są jedynie formalne: figurki Slezkinów są kolorowe, te z czarno-białego komiksu Świdzińskiego mocno uproszczone i pozbawione koloru. Mieszkańcy Odrobiny czy Niam Niamu wydają się równie egzotyczni, co przedstawiciele Gwadelupy, Trynidadu czy Haiti – realni uczestnicy festiwalu.



Figurki z gry w *Państwa* Michała Slezkina  
Szymon Rogiński

<sup>1</sup> Wraz z nastaniem zimnej wojny organizacje z państw zachodnich wycofały się z Federacji, a Departament Stanu USA uznał je za narzędzie komunistycznej propagandy, patrz: Andrzej Krzywicki, *Poststalinowski karnawał radości. V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów o Pokój i Przyjaźń, Warszawa 1955 rok*, Warszawa 2009.

<sup>2</sup> „Trybuna Robotnicza” nr 161, 8 lipca 1955, s. 4.

<sup>3</sup> Bohdan Slezkin zmarł 7 września 1993 r. Jego stan zdrowia po przeżyciach więziennych już nigdy nie był dobry. Żył skromnie, utrzymując się głównie ze sprzedaży miniatur wojskowych. W wolnej Polsce starał się o odzyskanie rekompensaty za utracony na wschodzie majątek, ale to się nie udało.



# Prawo do marzeń

Kiedy w 1991 roku w sali sportowej warszawskiego Pałacu Młodzieży (Pałac Kultury i Nauki) odbyły się pierwsze mistrzostwa Polski w skateboardingu, jedną z relacji prasowych zatytułowano *Dzicy w Pałacu*. Początek lat 90. to czas transformacji ustrojowej i wdrażania „terapii szokowej” w postaci planu Balcerowicza. Obietnica dynamicznego rozwoju i otwarcie się na Zachód szły w parze z marzeniami o lepszej przyszłości. Deskorolka, kojarzona z amerykańską kulturą i nieskrępowaniem, doskonale wpisywała się w ogólną fantazję na temat wolnego społeczeństwa.

## Ada Piekarska

– absolwentka ASP w Krakowie oraz historii sztuki PAN, kuratorka wystaw i projektów w Galerii Bielskiej BWA. Autorka tekstów, edukatorka, aktywistka.

W „Gazecie Stołecznej” z 1991 r. pojawił się artykuł opisujący gorączkowe zainteresowanie młodzieży nową formą aktywności. Z powodu przepisów Urzędu Celnego ceny desek sprowadzanych z Ameryki były bardzo wysokie – za najtańszą trzeba było zapłacić milion 600 tys. złotych. Mimo to niektórzy z postawionych pod ścianą rodziców zdecydowali się za zakup nowego sprzętu. Matka dwunastolatka, który ze swoją deskorolką nie rozstawał się nigdy, nawet w trakcie snu, przyznała we wspomnianym artykule: *Lepiej niech chłopaki jeżdżą na deskach, niżby mieli wąchać butapren. Ja już rozmawiałam z panią pedagog, deska jest korzystniejsza.*

Dla wielu młodych ludzi deskorolka bardzo szybko stała się czymś więcej niż chwilowym przedmiotem pragnień. Okazała się stylem życia, który wyraźnie wpływał na sposób spędzania czasu, zawierania znajomości, a nawet determinował stosunek tzw. skejterów do świata wokół. Do dziś można zauważyć, że wokół deskorolki wykształca się szczególnie rodzaj wspólnoty, w której kreatywność odgrywa kluczową rolę. Nie tylko jazda na desce, ale też muzyka, fotografia, graffiti, video, grafika i moda stanowią istotne elementy skateboardingu.

Na przełomie lat 80. i 90. XX w. punk stał się filarem muzyki skateboardingowej, a wielu skejtów tworzy-

Ada Piekarska

# o mieście

ło wideo ze swoimi przejazdami, podkładając pod nie ulubione utwory. W latach 90. dołączył hip-hop, który również osadził się w kulturze skate, lecz nigdy jej nie zdominował. Dzięki ukazującej się od 1999 r. serii gier komputerowych Tony'ego Hawka z pop punkową ścieżką dźwiękową tego typu muzyka stała się szczególnie popularna, a sama gra pozostała jednym z największych, globalnych fenomenów związanych z kulturą skate.

Skateboarding uznawany jest za ruch kontrkulturowy, a więc zakorzeniony w buncie przeciwko mainstreamowi. Deskorolka jest nie tylko miejskim sportem akcji, ale również stylem życia, związanym z określonymi wartościami. Wolność, przyjaźń, a także sprzeciw wobec form kontroli przestrzeni publicznej sprawiają, że kultura deskorolkowa stanowi interesujący obszar zarówno dla badań nad sposobami tworzenia wspólnot, jak i nad współczesnym miastem.

Henri Lefebvre (1901–1991), francuski socjolog i filozof, który stworzył pojęcie „prawa do miasta” jako prawa do życia w społeczeństwie, w którym każdy ma równe szanse na samospelnienie, proponował nowy sposób myślenia o życiu miejskim. Zdaniem teoretyka należy przywrócić w mieście momenty zabawy, cielesnej aktywności, sportu, twórczości artystycznej, wiedzy oraz sztuki. Szczególne kompetencje do rozwiązywania problemów miejskich dostrzegał wśród grup i kolektywów zdolnych do rewolucyjnych zamierzeń.

Być może za jedną z takich grup moglibyśmy dziś uznać wspólnotę ukształtowaną wokół deskorolki. To, co dla niej charakterystyczne, to szczególna relacja z miastem zarówno w sensie infrastrukturalnym, jak i społecznym. Przyglądając się bliżej sposobom traktowania przez skejterów przestrzeni miejskiej, możemy łatwo spostrzec ich szczególny stosunek do wybranych elementów architektury miasta.

Zdaniem Iaina Bordena, brytyjskiego historyka architektury, deskorolkarze doświadczenia miasta w sposób, który przeciwstawia się kapitalistycznej logice użyteczności, ujawniając przy okazji niezliczone potencjały wykorzystywania elementów architektury według zupełnie innych zasad. Można zaryzykować stwierdzenie, że skejterzy w spektakularny sposób uruchamiają miejską wyobraźnię, poddając dotychczasowe rozwiązania radykalnej krytyce.

Choreografia ich przemieszczających się ciał demaskuje miejskie ograniczenia i wszechobecną kontrolę. Skejterzy nieustannie odnajdują i odzyskują kolejne fragmenty miasta. Szybko i niedrogo budują nowe konstrukcje (metodą DIY, czyli „do it yourself”), niejednokrotnie przyczyniając się do rewitalizacji i ożywienia opuszczonych czy zaniedbanych obszarów miejskich. W tym sensie skejterzy stanowią szczególnie rodzaj rozproszonych wspólnoty, której działania, ukierunkowane na poszukiwanie nowości oraz miejskiej przyjemności, nabierają charakteru politycznego.

Myśląc o obecności deskorolki w przestrzeni miasta, nie sposób pominąć postawy zawartej w samym rdzeniu tego rodzaju praktyki. Nie ma tu mowy o przyjmowaniu perspektywy, w której mieszkanki i mieszkańcy pozostają biernym podmiotem i użytkownikiem miasta. Przeciwnie, dla skejterów przestrzeń miejska stanowi pole nieskończonych możliwości i realizacji zupełnie nowych scenariuszy.

Codziennosc staje się niemożliwa do przewidzenia, pełna szczelin i fragmentów gotowych do odkrycia, a następnie włączenia w proces stawania się tzw.



Bielszczanin Mateusz Kowalski w Gdańsku (na sąsiedniej stronie pod domem Schlütera)  
Kuba Bączkowski/Barrier Skatemag



Film *Twoja Babka*



www.youthskateboards.com

Marcin Myska  
z Bielska-Białej  
w przestrzeni Katowic  
Ze zbiorów Youth  
Skateboards

spotem (miejscem przeznaczonym do jazdy). Powstają załączki innych niż dotychczas form organizacji strukturalnej i społecznej. Ten proces możemy określić mianem demokratyzacji przestrzeni, bo do głosu dochodzą żądania mieszkańców, stojące w sprzeczności z odgórnym zaprojektowanym modelem użytkowania miasta.

Taka sprzeciwiająca się zastanemu porządkowi postawa wspólnoty deskorolkowej jest niczym innym jak przykładem codziennej, konsekwentnej praktyki oddolnego oporu. Niezwykle twórcze formy użytkowania publicznej przestrzeni, warunkowanie jej na nowo i przekraczanie przyzwyczajęń, mogą nosić znamiona siły rewolucyjnej, a na pewno siły innowacji.

Skateboarding w przestrzeni publicznej jest poddawany nieustannej kontroli, a w większości miejsc pozostaje prawnie niedozwolony. Coraz popularniejszą praktyką jest umieszczanie w przestrzeni tzw. skatestopperów, czyli elementów utrudniających jazdę. Przestrzenie przeznaczone do poruszania się na desce, czyli tzw. skateparki stanowią wyjątek od ogólnej zasady braku przyzwolenia na tego typu aktywność w przestrzeni publicznej.

Konsekwencją łamania tej reguły są mandaty, a także upomnienia, nie tylko ze strony organów władzy, ale również przypadkowych przechodniów i mieszkańców okolicy. Napięcia, jakie generuje choćby charakterystyczny dźwięk toczących się kółek deski, możemy od-

czytywać jako próbę negocjacji dostępu do przestrzeni publicznej. Nierzadko dochodzi do tymczasowych porozumień i spontanicznych sojuszy, które są zawierane na skutek rozpoznania wspólnego celu, a niekiedy współodczuwania niechęci wobec form nadzoru i odmowy dostępu do przestrzeni.

Powracając do przykładów projektowania ukierunkowanego na nadzór oraz wykluczenie konkretnych grup społecznych, nie sposób pominąć elementów tworzonych z myślą o wyeliminowaniu osób w kryzysie bezdomności. Przykładem tego typu rozwiązań architektonicznych są ławki projektowane tak, aby nie można było się na nich położyć. Co znaczące, skejterzy bardzo często wspominają o przynoszących satysfakcję interakcjach z przedstawicielami grup szczególnie narażonych na wykluczenie z dostępu do przestrzeni.

Zagadnienie prawa do przestrzeni w mieście wiąże się z pewnymi napięciami, nie tylko w kontekście nierówności o charakterze klasowym, o czym mowa wyżej, ale również w samym sposobie rozumienia przestrzeni publicznej. Późnokapitalistyczna logika planowania przestrzeni w mieście zakłada, że priorytet dostępu uzyskują konsumenci, pracownicy biurowi, turyści, osoby poruszające się samochodami itd. Pozornie takie przestrzenie wydają się inkluzywne i otwarte, w rzeczywistości są skonstruowane tak, by maksymalizować przepływ towarów oraz usług. Skateboarding, który łamie te reguły i tworzy zupełnie nową logikę konstytuowania przestrzeni, ujawnia symboliczne relacje władzy w mieście, wskazuje na postępujący proces prywatyzacji kolejnych obszarów, a w konsekwencji normalizacji zasady ekskluzywnego dostępu.

To, czym jest skateboarding i towarzysząca mu kultura trudno zamknąć w prostej definicji. To z pewnością energia swobodnego przepływu i zmiany, całkowicie pozbawiona chęci dominacji i trwałego zawłaszczenia, za to wyraźnie ukierunkowana na tymczasowe przechwycenie, próby negocjacji i radosną różnorodność. Wykorzystując w pełni narzędzie kreatywnej wyobraźni, skejterzy tworzą nowy kodeks prawa do marzeń o mieście.

W

Tekst powstał podczas pracy nad wystawą *Prawo do miasta*, prezentowaną w Galerii Bielskiej BWA od 7 czerwca do 25 sierpnia 2024 r.

Podziękowania dla Jana Mikuły za udostępnione materiały, w tym pracę magisterską analizującą zagadnienie skateboardingu w przestrzeni publicznej.



## Lech Kotwicz

7 czerwca 2024 roku to ważna data w historii Zespołu Pieśni i Tańca Beskid, symbolicznie podsumowująca jubileuszowym koncertem w Bielskim Centrum Kultury 70-lecie istnienia grupy na kulturalnej mapie miasta. Prezentowany od lat wysoki poziom artystyczny i doświadczenie w upowszechnianiu folkloru pozwalają na nazwanie Beskidu jedną z najciekawszych wizytówek kulturalnych Bielska-Białej.



Beskid został założony w 1954 r. jako grupa taneczna przy zakładach włókienniczych Lenko w Bielsku-Białej. W pierwotnym zamyśle miał być zespołem reprezentującym środowisko włóknarzy. Z racji położenia miasta u stóp Beskidu Małego i Beskidu Śląskiego formacja od momentu powstania posiadała bardzo silną góralską identyfikację, stąd taka nazwa.

Od 1957 r., kiedy powołany został Międzyzakładowy Dom Kultury Włóknarzy (od Lenko przejął dwa obiekty usytuowane w centrum miasta przy ul. 1 Maja 12 i 47; po transformacji ustrojowej przełomu lat 80. i 90. XX w. znalazł się w jednym z nich – w zabytkowym budynku z I połowy XIX w. przy ulicy 1 Maja 12), siedzibą Beskidu jest właśnie Dom Kultury Włóknarzy (funkcjonujący od stycznia 1996 r. w strukturach Miejskiego Domu Kultury).

Mimo branżowego mitu założycielskiego, osadzonego w kontekstach charakterystycznych dla sytuacji społeczno-politycznej lat 50. ubiegłego stulecia, w tym zakładowych uwarunkowań związanych z ekspansją przemysłu włókienniczego w powojennym krajobrazie dopiero co połączonego (1951 r.) Bielska-Białej, zespół od samego początku przybrał typowo ludowy charakter.

Działalność w obszarze folkloru umożliwiała zachowanie stosunkowo dużej swobody w tych trudnych dla rozwijania artystycznej ekspresji czasach. Dla młodych była paradoksalnie intrygującym „wentylem wolności”. Pozwalała na zagospodarowanie niespożytej energii przypisanej młodzieńczemu wiekowi osób, które wówczas dołączały do Beskidu. Formacja z marszu zyskała

# Beskid i reszta świata

uznanie w regionie i kraju, występując na różnego rodzaju uroczystościach, festynach i pokazach organizowanych – jak określał to obowiązujący w obiegu publicznym język propagandy – „dla szerokich mas społecznych”.

### Zatańczyli w sercach Szwajcarów

Beskid w szybkim tempie stał się grupą (również przyjaciół) prezentującą bardzo wysoki poziom artystyczny. W artykułach prasowych, mimo amatorskiego rodowodu, szybko zaczęto porównywać roztańczonych artystów z „Włókniarza” do słynnych na całą Polskę profesjonalnych zespołów folklorystycznych, nazywając ich „Małym Śląskiem” bądź „Małym Mazowszem”.

W 1964 r. zespół, oklaskiwany dotychczas podczas występów w rodzinnej miejscowości i zdobywający uznanie na krajowych scenach, po raz pierwszy wyjechał za granicę i to od razu na tygodniowy pobyt do

Romana Polok, pierwsza z lewej, 1978

📷 Archiwum ZPiT Beskid

**Lech Kotwicz** – absolwent kulturoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, specjalista ds. promocji i kontaktów z mediami w Miejskim Domu Kultury w Bielsku-Białej. Poeta, prozaik, artysta wizualny.

Przed koncertem,  
II poł. lat 70.

Szwajcarii, kraju po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”.

Tam, w Neuchâtel, bielszczanie uczestniczyli w festiwalu zorganizowanym przez miejscowy Théâtre populaire romand (Teatr Ludowy Romand). Żywiołowość tańców, naturalność tancerek i tancerzy, biegłość warsztatowa wywołały nieskrywany entuzjazm widzów, dając efekt wyjątkowego spotkania mieszkańców Zachodu

ze słowiańskim folklorem. Miejscowe pisma, wtedy zwyczajowo dość chłodne w ocenie formacji przyjeżdżających zza „żelaznej kurtyny” – jak donosiła Kronika Beskidzka nr 36 (406) z września 1964 r. – „wyszły poza granice życzliwej powściągliwości”. Pasja, z jaką młodzi Polacy podchodzili do zadań scenicznych, udzieliła się opanowanym zazwyczaj Helwetom.

### Wszystko w rodzinie

Pierwszą ze znaczących choreografek Beskidu była Alina Blaszkę, absolwentka szkoły baletowej prowadzonej przez Elwirę Kamińską, kierowniczkę artystyczną Śląska.

Efektowny oberek, lata 60.



Naturalnym zapleczem dla Beskidu stał się, założony w 1961 r. przez instruktorkę tańca i choreografkę Barbarę Wyrozębską-Kaczyńską, Dziecięcy Zespół Ludowy Stokrotki (zespół działa i dziś, ale jako formacja tańca współczesnego). „Stokrotkowe” dzieci z lat 60. XX w. realizowały analogiczny, oczywiście dostosowany do wieku, program i miały identyczne stroje jak dorośli tancerze Beskidu.

W latach 1967–1974 Barbara Wyrozębska-Kaczyńska prowadziła także Beskid, opracowując oparty na przyśpiewkach i tańcach ludowych z różnych regionów Polski (ze szczególnym uwzględnieniem folkloru beskidzkiego) program na przeglądy i festiwale. Zespół w tym czasie nauczył się również wielu tańców rosyjskich. Umiejętność ta zaowocowała zaproszeniami na koncerty w ZSRR.

Od połowy lat 70. (do śmierci w 1989 r.) Beskidem ponownie kierowała Alina Blaszkę. Kolejną osobą (a w zasadzie osobowością) prowadzącą zespół przez prawie 30 lat (!), z małymi przerwami na urlopy macierzyńskie, była córka Aliny – Romana. Liderka z prawdziwego zdarzenia, charyzmatyczna i wymagająca, ciesząca się posłuchem u podopiecznych i osiągnięta z nimi kolejne sukcesy artystyczne. Legendarna Roma przygotowywała Beskid do występów jeszcze podczas poprzedniego jubileuszu 65-lecia.

Od 2023 r. kierowniczo-artystyczną pieczę nad „beskidową” kompanią sprawuje duet: Agata Polok – wnuczka Aliny Blaszkę i córka Romany, oraz Barbara Rybczyk – wieloletnia asystentka Romy. Od najmłodszych lat związane z Beskidem, nie tylko z racji rodzinnych powiązań, ale przede wszystkim poprzez chore-

ograficzne zacięcie przekładające się na godziny prób w Domu Kultury Włóknarzy i sceniczne występy na uroczystościach w mieście i poza nim.

O ile Agata Polok z racji genów musiała „zachorować na Beskid” (babci nie zdążyła poznać, urodziła się już po jej śmierci, to mama od najmłodszych lat „zarażała” ją folklorem), o tyle Barbara Rybczyk z amatorskiej przygody młodości (również w pewnym stopniu zaszczerpiętej przez matkę; o tym niżej – L.K.) uczyniła prawdziwy, fascynujący i niepowtarzalny sposób na życie.

Jedną z głównych cech bielskiego zespołu jest wielopokoleniowy charakter, widoczny nie tylko w codziennej działalności edukacyjnej. W kilku grupach tanecznych współtworzących Beskid udziela się bardzo zróżnicowane pod względem kategorii wiekowych towarzystwo – „od juniora do seniora”. Na przestrzeni siedmiu dekad w Beskidzie wyrażali siebie za pomocą tańca, śpiewu czy gry na instrumentach (Kapela Góralska Beskid, przygrywająca tancerzom podczas występów) liczni przedstawiciele wielu rodzin.

### **Zakochani z rozumu obrani**

Miłość do folkloru góralskiego i szerzej – tańców i strojów ludowych, to pasja, która w wielkiej „beskidowej” rodzinie jest przekazywana z pokolenia na pokolenie. Warto podkreślić, że godziny prób i występów, wspólnie przejechane kilometry w autokarze, ale także spędzanie wolnego czasu na niezliczonych spotkaniach towarzyskich, prywatkach, potańcówkach, przyjęciach okolicznościowych z okazji urodzin, zakończeń kolejnego roku szkolnego i/lub następujących po sobie sezonów kulturalnych, Sylwestrów, zabaw karnawałowych itp. owocowało nawiązywaniem wieloletnich przyjaźni. A z czasem, co zbytnio nie dziwi, zawieraniem trwałych związków małżeńskich pomiędzy dobrze zgranymi parami, które zaczęły dogadywać się coraz lepiej nie tylko na scenie, ale także w życiu prywatnym.

Od połowy lat 80. minionego wieku z Beskidem związany jest Wojciech Rybczyk, w „cywilu” mąż Barbary, obecnej kierowniczki artystycznej zespołu. W Beskidzie działa też ich dorastający syn Michał. I tutaj (zapowiedziana wcześniej) ciekawostka. Uczestniczką pierwszego zagranicznego wyjazdu Beskidu (1964), podczas którego artyści z Bielska-Białej brawurowo zatańczyli w Teatrze Ludowym Romand w szwajcarskim Neuchatel, była Wanda Michalec. Mama Barbary Rybczyk. Takich historycznych konfiguracji (koligacji) jest w zespole więcej.

Ludzi zbliża(ła) do siebie ta sama pasja, która po pew-

nym czasie przekształciła się w miłość, z uzasadnioną słabością do tańca ludowego i beskidzkiej ziemi. Całą historię Beskidu można określić mianem historii zakochania. Zakochania, które dotyczy autentycznych ludzi, pochłoniętych czy to przez pewien zamknięty w ramy kilku sezonów czas, czy „nieco” dłużej (w skrajnych przypadkach to dłużej może oznaczać całe życie) przez romantyczne, bezgraniczne uczucie do wspólnej pasji. W sumie jest to dość niegroźna przypadłość i nie tak bardzo dziś, w mocno skomercjalizowanym świecie, powszechna. Ale jak już kogoś weźmie, „to ino roz”.

### **Okno na świat**

Zespół ma na koncie setki koncertów w Polsce i poza granicami kraju. Związane z występami podróżowanie, tak dawniej, kiedy przed kilkudziesięciu laty zwykły obywatel nie miał ku temu zbyt wielu możliwości, jak i dziś, artystyczne wędrowanie przez państwa, a nawet kontynenty, stało się kolejną ciekawą przygodą.

Bo z Beskidem zawsze się podróżowało. Grupa reprezentacyjna brała udział w festiwalach organizowanych przez Polską Sekcję CIOFF, reprezentując Polskę na arenie międzynarodowej. Tylko w ostatnich latach zespół ma na koncie wypad do Bułgarii i Czarnogóry, Rumunii (Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny „Złota Rybka”, 2005), Szwajcarii, Słowacji, Serbii, Słowenii (Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny MIFF, 2012), Hiszpanii (Międzynarodowe Festiwale Folklorystyczne Festifolk i FestiSierra, 2018), Portugalii czy Francji (Międzynarodowy Festiwal Folklorystyczny InterFolk).

Beskid wiele razy wracał na Węgry (festiwale w Budapeszcie, Szegedzie, Makó). Ze względu na egzotykę chyba najbardziej znamienna w historii zespołu była



Beskid w Turcji, 1993

📷 Archiwum ZPiT Beskid

Sesja fotograficzna, 2023

📷 Daniel Franek



samolotowa wyprawa na festiwal World Culture Open do Seulu w Korei Południowej w 2004 r.

Przez 70 lat artystycznej aktywności Beskid uzyskał wymierne wyrazy uznania w postaci odznaczeń i wyróżnień. Do najbardziej prestiżowych należą: Medal Prezydenta Bielska-Białej (1975), Złoty Krzyż Zasługi (1977), Dyplom i Medal Prezydenta Bielska-Białej z okazji 40-lecia Zespołu Pieśni i Tańca Beskid (1994), Nagroda Prezydenta Bielska-Białej w dziedzinie Kultury i Sztuki Ikar 2014 – Dyplom Honorowy czy Złota Odznaka Honorowa za Zasługi dla Województwa Śląskiego (2014) oraz niezliczona ilość nagród w regionalnych przeglądach folklorystycznych i krajowych bądź międzynarodowych festiwalach, m.in. w Belgii (1970 i 1982), na Węgrzech (1979 i 1987).

### Jubileusz i co dalej

W jubileuszowym sezonie 2023/2024 Beskid prowadzi w swoim mateczniku (Domu Kultury Włókniarzy) działalność dla 120 osób podzielonych na pięć grup wiekowych. W trzech dziecięcych (skupiających dzieci w wieku 5–7, 7–10 oraz 11–15 lat), jednej reprezentacyjnej (która składa się z młodzieży licealnej, studentów i dorosłych) oraz w grupie seniorów (dedykowanej tancerzom w wieku powyżej 40 lat). Zespół koncertuje z Kapelą Góralską Beskid oraz dziecięco-młodzieżową Kapelką Beskidek.

Aktualny program artystyczny, nawiązujący do bogatej tradycji zespołu, zawiera odpowiednio dopracowane propozycje z rejonu Śląska Cieszyńskiego, Beskidów, okolic Nowego Sącza, Lublina, Rzeszowa, Krakowa, Bił-

goraja, Kaszub oraz innych regionów Polski. Oparty jest przede wszystkim na bogatym folklorze Beskidu Śląskiego, Żywieckiego, Sądeckiego i rejonu Spisza. W repertuarze znajdują się także tańce narodowe oraz ludowe. Prezentowane są też małe formy taneczne oraz scenki choreograficzne i groteski (żarty) taneczne, będące żywą ilustracją zwyczajów i tradycji ludowych.

Z Beskidem w zamierzonych czasach „socrealistycznej nocy” zaczynali dziadkowie. Kontynuowali rodzice w poszarpanych latach późnego PRL-u i przełomu transformacji ustrojowej, kuszącej młodych kolorowymi pokusami popkultury. Teraz „rządzi” trzecie pokolenie, dzieci i/lub wnuków dawnych tancerzy, śpiewaków, muzyków i choreografów, którzy nie tylko tańczą, a wręcz „żyją Beskidem”. Dla nich to zdecydowanie coś więcej niż zwykła „odskocznia od codzienności”, coś ważniejszego niż amatorskie hobby, któremu człowiek oddaje się po pracy czy szkole.

Przynależność do Beskidu zawsze wymagała – i nadal tak jest – dobrej organizacji dnia, wpisania na stałe godzin prób w tygodniowy grafik. Również zaplanowania wyjazdów na koncerty, co wiąże się z dostosowaniem urlopu, ustawieniem wakacji pod konkretny wyjazd związany z udziałem Beskidu w kolejnym festiwalu folklorystycznym. Wymaga to dużej samodyscypliny. Nagroda, jak zawsze, jest ta sama: kiedy żyje się z pasją, nuda nie istnieje. 

Na zamku w Żywcu, 2023

 Daniel Franek





Łukasz Giertler

W zeszłym roku fiat 126p skończył 50 lat. Maluch i jego produkcja na trwałe wpisały się w historię Bielska-Białej. To właśnie tu od 6 czerwca 1973 roku do 22 września 2000 z taśm montażowych zjechało 1 152 325 egzemplarzy. Ale fiat 126p to nie tylko pojazd, to część naszej historii, symbol minionej epoki i styl życia.

## Więcej niż samochód

Seryjną produkcję samochodów w Bielsku-Białej rozpoczęto w 1972 r. od syreny, wytwarzanej dotąd w Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie. To właśnie wtedy Wytwórnię Sprzętu Mechanicznego przekształcono w Fabrykę Samochodów Małolitrażowych<sup>1</sup>. Jej dyrektor Ryszard Dziopak marzył jednak o pojeździe nowszym i w całości produkowanym w bielskim zakładzie.

29 października 1971 r. podpisano w Warszawie umowę licencyjną na wytwarzanie fiata 126. Dostał symbol p – polski. Dwa lata później rozpoczęła się produkcja i sprzedaż.

Sukces Fabryki Samochodów Małolitrażowych przełożył się na dynamiczny rozwój miasta: powstały nowe osiedla wraz z całą infrastrukturą, przybyło wielu nowych mieszkańców<sup>2</sup>. Bez malucha nie byłoby tak szybkiego rozwoju gospodarczego i kulturalnego.

Podstawowy model z dwudrzwiowym nadwoziem typu fastback był początkowo napędzany (umieszczonym z tyłu i chłodzonym powietrzem) silnikiem o pojemności skokowej 594 cm<sup>3</sup> i mocy 23 KM, a od 1977 r. – 652 cm<sup>3</sup> i 24 KM. Maluch mógł zabrać na swój pokład

cztery osoby oraz niewielki bagaż do znajdującego się z przodu bagażnika. W latach 70. ubiegłego stulecia, aby nabyć to cudo, trzeba było mieć 69 tys. ówczesnych złotych (około 20 średnich pensji) i talon (przydział) na auto.

Tym ważącym średnio 600 kg samochodem (dla wielu pierwszym) Polacy udawali się na wczasy, nie tylko krajowe, ale i zagraniczne. Fiat 126p pozwalał spełniać marzenia o wielkich podróżach, a każda wyprawa była dla podróżnych wyjątkowym przeżyciem – *Jazda na wczasy maluchem [...] Nie ma szans na wyprzedzanie innych samochodów, nie przeszkadza ogromny hałas w środku, bagażnik dachowy załadowany, namiot, torba z pościelą, materac i śpiwór. Ważne, że się z radością jedzie nad morze, a potem z wakacji wyśle się do rodziny i znajomych widokówki z pozdrowieniami* – napisał Edward Puchałka, członek facebookowej grupy Historia Bielska-Białej na starych fotografiach.

Z okazji pięćdziesiątki fiata 126p w lipcu minionego roku wyruszyła wyprawa do Monte Carlo. Wśród uczestników byli m.in. Sobiesław Zasada i Longin Bielak<sup>3</sup>, Rafał Sonik, Janusz Szerła, Kajetan Kajetanowicz,

W bielskiej Fabryce Samochodów Małolitrażowych  
📷 Narodowe Archiwum Cyfrowe

**Łukasz Giertler**

– bielszczanin, historyk, lokalny przewodnik, zainteresowany dziejami Górnego Śląska, a przede wszystkim historią Bielska-Białej i okolic, badacz niemieckiej przeszłości miasta.



## Wyprawa maluchami na Kaukaz

Bartosz Ostałowski, Remigiusz reZi Wierzoń, Robert Hi\_5 Buczyński. Cel był szczytny: pomoc dzieciom – ofiarom wypadków drogowych w Polsce.

Z kolei w czerwcu 2013 r. w podróż po Europie wybrał się swoim wówczas 33-letnim maluchem cabrio Franciszek Kukiola, założyciel bielskiej Galerii Wzgórze. Jak wspomina – *Ten samochód w jednym kawałku przez trzy miesiące od czerwca do września zrobił największą ilość kilometrów. Samodzielnie, bez mechaników i operatorów, przejechałem po całej Europie; nie byłem tylko w Szwajcarii, Liechtensteinie i Andorze. Zaliczyłem ponad 20 tys. kilometrów.*

Niewątpliwie każdy fiat 126p ma jakąś ciekawą historię do opowiedzenia. Kolejną z nich jest wyprawa na Kaukaz. 29 lipca 1978 r. dwunastu śmiałków: Zenon Kawecki (pomysłodawca i kierownik wyprawy), Wiesław Głowacki (zastępca kierownika wyprawy), Władysław Wałach (mechanik), Krystyna Gruszka (sanitariuszka) oraz Tadeusz Bujok, Jacek Gruszka, Andrzej Jakubiec, Jadwiga Kawecka, Barbara i Karol Steklowie, Paweł Paszcza, Alojzy Szupina wyruszyli w podróż (w ramach swojego urlopu) spod FSM sześcioma prywatnymi maluchami.

Trasa wyglądała następująco: Bielsko-Biała – Przemyśl – Lwów – Kijów – Charków – Rostów – Gendżyk – Soczi – Suchumi – Tbilisi – Gori – Pasanauri – Nalczyk – Rostów – Kijów – Winnica – Czerniowiec – Bystrzyca – Debreczyn – Koszyce – Żylin – Bielsko-Biała. Pierwotnie miała przebiegać także przez Jałtę, Sewastopol i Odesę, ale w Rostowie uczestnicy otrzymali informację o zmianie trasy.

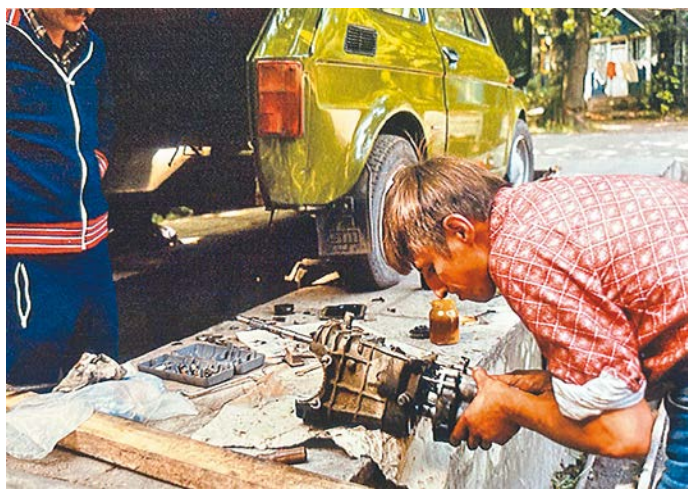
**Wiesław Głowacki:** W latach 70. w FSM bardzo rozrosła się kultura, sport i turystyka. Były na to ogromne pieniądze i w zakładach FSM powstały koła PTTK. Przygotowaliśmy spotkanie wszystkich kół i powstał tzw. oddział zakładowy liczący 16 kół z województwa bielskiego. Zenek Kawecki był szefem PTTK w Skoczowie, a ja w Bielsku-Białej. To właśnie Zenek zaproponował, żeby z okazji pięciolecia produkcji malucha zorganizować wyjazd na Kaukaz, gdzie był już parę razy i miał uprawnienia przewodnika. Ja byłem od propagandy.

Wyjechało sześć maluchów, a w nich sześć osób z Bielska-Białej i sześć ze Skoczowa. Wszystkie pojazdy opatrzone znacznikiem PTTK, mieliśmy czapeczki z FSM, każdy był ubrany elegancko. O piątej rano zawsze była pobudka i jechaliśmy w trasę. W dużych miastach spaliśmy w campingach, w mniejszych pod namiotami. Wszędzie wzbudzaliśmy zainteresowanie. To był piękny wyjazd.

**Zenon Kawecki:** Mam taką naturę, że lubię coś zainicjować. Pięciolecie fiata 126p było świetną okazją, żeby coś zrobić. Było ciężko – trasa była zmieniana trzy razy, ale m.in. dzięki człowiekowi z Ministerstwa Spraw Zagranicznych (któremu kiedyś bardzo pomogłem) udało się. Zakład zapłacił nam za paliwo i noclegi. Początkowo miał dać samochody, ale jak już wszystko było załatwione (listy uczestników były podane), okazało się, że fabryka ma swoich kierowców... A miało jechać dwanaście osób, więc sześć by odpadło i trzeba by wszystko od nowa załatwiać. Doszliśmy do wniosku, że my w to kaszemy i jedziemy własnymi maluchami, robiąc reklamę zakładowi.

Zamiast samochodów FSM zaproponował serwis. Ponieważ zabranie wszystkiego było technicznie niemożliwe (wymagałoby pojazdu wielkości Żuka), wybrano najistotniejsze części, które mogły ulec awarii podczas podróży.

**Z.K.:** Ja rządziłem. Każda trasa była ustalona przeze mnie kilometrami. Trzymałem dokumenty od wszystkich. Zawsze musiałem wiedzieć, gdzie się kto znajduje. Mia-



łem plan na każde miasto – co warto zwiedzać w wolnym czasie, ale przymusu nie było, bo za to płaciliśmy z własnej kieszeni. Zrobiliśmy ponad 800 slajdów podczas całej wyprawy. Mój licznik pokazał w sumie 11 tys. kilometrów. Przeszło miesiąc w podróży.

Wszyscy napotkani na trasie ludzie byli ciekawi, co to za samochody, a Polacy cieszyli się dużą sympatią wśród lokalnej społeczności. Nawet żartowano wspólnie z panującą w państwach bloku wschodniego sytuacji.

**W.G.:** Niektórzy pytali, co to za maszyna. Mówiłem, że na wodę. Niektórzy wierzyli. To były takie śmieszne historie.

W Gruzji pewien mężczyzna zadzwonił do żony, że nie będzie go wieczorem w domu, bo spotkał przyjaciół z Polski. Z kolei w Nowym Atonie – w sali, gdzie kręcono film *Świat się śmieje*, było akurat wesele. Ja byłem najodważniejszy i poszedłem poprosić młodą panią do tańca. Wszyscy się bali, ale ja twardo i były oklaski, i świetnie się towarzystwo bawiło.

A policjanci na drodze życzyli nam szczęśliwej drogi i miłych wspomnień z pobytu w Związku Radzieckim.

**Z.K.:** Dwoma maluchami (pięć osób) pojechaliśmy w góry. Do oddalonej jakieś osiem kilometrów od Czerwonej Polany bazy szkoleniowej wyższych oficerów wojsk Układu Warszawskiego jeszcze nigdy nie dojechał samochód na oponach. Jeździły tzw. gruzawiki na gąsienicach. Oficerowie się dziwili, jak to zrobiliśmy. Jak było trzeba, tośmy przenosili – odpowiedział im biegle mówiący po rosyjsku kolega.

**W.G.:** Za kolorowe gazety „Sonda” (co to dla miejscowych nie było) dostawaliśmy melony. Takie się numery robiło. Byliśmy w Gori, tam, gdzie się Stalin urodził, w tym jego domku. Nad Morzem Czarnym wszyscy w samochodach z tyłu wozili podobiznę Stalina. Jeden gość, co widziałem po raz pierwszy, miał wytatuowanego na piersi całego Stalina. Chciałem sobie zrobić zdjęcie, podchodząc, zwróciłem się do niego „towarzyszu”. Obrócił się na pięcie i odszedł. Jak się okazało tamtejsi mieszkańcy nienawidzili, jak się do nich mówiło „towarzyszu”.

Do największych wyzwań, jakie pojawiły się w czasie podróży, należała usterka skrzyni biegów.

**Z.K.:** W Charkowie, w drodze powrotnej, mieliśmy awarię – trzeci bieg nam wysiadł. Musieliśmy rozebrać skrzynię biegów, nie mieliśmy zapasowego pierścienia i mechanik przełożył z czwartego na pierwszy. Naprawa poszła błyskawicznie. Zasadniczo nie było awarii poza tym pierścieniem. Ale to był samochód, który był w górach. Jak przejeżdżaliśmy przez największy potok, to do

połowy okien woda waliła. Gdyby nam zalało silnik, to byśmy nie przejechali.

Media zainteresowane były ekspedycją wyłącznie w jedną stronę. Polscy dziennikarze przybyli w dzień odjazdu na Kaukaz. Po powrocie nie powstał żaden materiał, który wyczerpująco opisałby tę niesamowitą wyprawę, podczas której przemierzono maluchami m.in. słynną Gruzińską Drogę Wojenną.

**W.G.:** Specjalnego rozgłosu nie było, wszystko było filmowane pod PTTK.

**Z.K.:** Wracając do kraju, zatrzymaliśmy się w ramach reklamy w Rumunii, Bułgarii, na Węgrzech i w Czechosłowacji – tam mieliśmy spotkania z dziennikarzami.

Wyprawę zakończono z sukcesem 28 sierpnia 1978 r. Do dzisiaj, co pięć lat, jej uczestnicy spotykają się i wspominają tę wyjątkową podróż, która już nigdy się nie powtórzyła.

Maluch jest żywą legendą. Jego popularność nie słabnie. W Bielsku-Białej przy ul. Karpackiej 44 Antoni Przychodzień prowadzi Muzeum Fiata 126p – nie ma godzin otwarcia, nie ma biletów, są za to unikatowe zbiory (wszystkie maluchy są na chodzie, zarejestrowane, ubezpieczone, można wsiąść i odjechać) oraz indywidualne oprowadzanie z mnóstwem anegdot i opowieści. Kolejną postacią kultywującą historię fiata 126p jest Przemysław Targosz, bielski pasjonat motoryzacji, posiadacz fiacika z 1975 r. Wspólnie z klubem 126Evolution, Bielskie Klasyki Nocą i I love BB tworzą wokół malucha nową społeczność. W zeszłym roku współorganizowali 50. urodziny fiata 126 p., aktualnie pracują nad nowym projektem związanym ze ww. wyprawą na Kaukaz. Cytując klasyka: *Mijają dni, mijają lata, ale nie mija moda na małego fiata.*

Autor składa podziękowania Zenonowi Kaweckiemu i Wiesławowi Głowackiemu za podzielenie się wspomnieniami z wyprawy maluchami na Kaukaz.



Wiesław Głowacki i Zenon Kaweckie świętują 50. urodziny fiata 126p

📷 Ze zbiorów Wiesława Głowackiego

<sup>1</sup> W szczytowym okresie Fabryka Samochodów Małolitrażowych zatrudniała ok. 33 tys. pracowników. W zakładzie wchodziły: Bielska Fabryka Obrabiarek, Zakłady Metalowe (dzisiejszy Nemak), Starobielska Fabryka Kos w Wapienicy, a także zakłady Kuźni w Ustroni i Skoczowie. Fabryk składających się na FSM albo produkujących dla FSM było znacznie więcej. Nawet pracownicy niektórych zakładów włókienniczych również byli związani z przemysłem samochodowym, tworząc m.in. podsufitki i tapicerkę

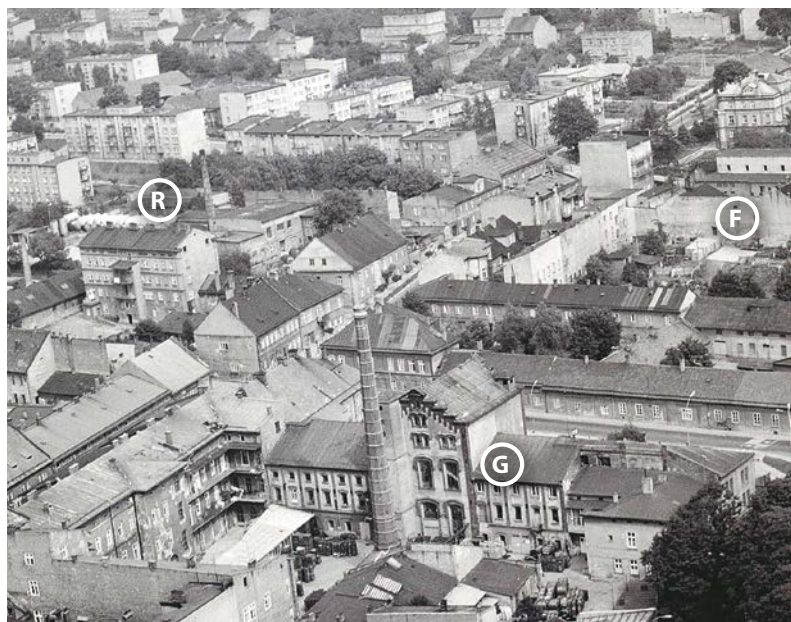
<sup>2</sup> W 1970 r. miasto liczyło 100 tys. mieszkańców, a dekadę później 160 tys.

<sup>3</sup> Warto wspomnieć, że Sobiesław Zasada i Longin Bielak prowadzili malucha podczas 43. Rajdu Monte Carlo w 1975 r. poza konkursem, pokonując całą trasę.

Piotr Kenig

# Gross, Fränkel, Reich...

Fabryki alkoholi w Lipniku  
Część II



Nieopodal opisanej w poprzednim odcinku naszego cyklu gorzelni Jakuba Grossa funkcjonowały dwie kolejne wytwórnie tej branży, należące do rodzin Fränklów i Reichów. Oba przedsiębiorstwa, ulokowane przy dzisiejszej ul. Krakowskiej, na początku XX wieku reklamowały się jako c.k. uprzywilejowane rafinerie spirytusu i fabryki likierów. Dzisiaj w pierwszej z nich znajduje się prowadzone przez Automobilklub Beskidzki Muzeum Motoryzacji, a po drugiej pozostał pusty plac u zbiegu ulic Krakowskiej i Lwowskiej, użytkowany jako parking.

Fabryki alkoholi Grossa (G),  
Fränkla (F) i Reicha (R), 1975

📷 Zbigniew Siemaszko  
<https://zabytek.pl/pl>

Początek dzisiejszej  
ul. Krakowskiej, ok. 1909  
📷 Atelier Jakub Gols, Biała

## Adolf Fränkel

Podobnie jak w wypadku innych izraelickich rodzin, brak informacji, skąd oraz kiedy przybył na pogranicze Lipnika i Białej pierwszy przedstawiciel rodziny Fränklów<sup>1</sup>. Według portalu genealogicznego Geni miał być nim Aron, żonaty z bliżej nieznaną Sarą. Ich syn, Adolf Fränkel (1806–1880), poślubił ok. 1840 r. Rozalię Tugendhat. Nie wiadomo, jak wyglądały początki jego działalności w branży gorzelniczej. Do połowy lat 70. XIX w. jako datę założenia przedsiębiorstwa podawano rok 1850. Ćwierć wieku później firma reklamowała się już jako *najstarsza austriacka fabryka likierów, rafineria spirytusu i fabryka przetworów owocowych Karpathia*, założona rzekomo w 1816 r., co w wypadku Adolfa z oczywistych względów nie było możliwe.



Początkowo zakład był niewielki i mieścił się najpewniej w dzierżawionych oficynach na zapleczu domów Lipnik 20 i 21 (do 1858 r. Lipnik 213 i 192). Budynek stały przy szosie cesarskiej, poniżej dzisiejszej kamienicy przy ul. Krakowskiej 2, w miejscu, gdzie ul. Żywiecka przechodzi w ul. Lwowską. W 1846 r. posesje te należały do mistrza kowalskiego Macieja Thomanna, katolika, oraz Joachima Adlera, byłego fabrykanta sukna, jednego z niewielu tutejszych Żydów, posiadających przed 1848 r. dom mieszkalny. Adolf Fränkel nabył obie te posesje w czerwcu 1860 r.

Nieco wyżej, przy skrzyżowaniu z dzisiejszą ul. Kazimierza Wielkiego, ulokowane były zabudowania folwarczne Lipnik 22 (do 1858 r. Lipnik 250) z dużym ogrodem, ciągnącym się w stronę potoku Niwka (późniejszy plac targowy). Posesja należała początkowo do kupca, spedytora i właściciela ziemskiego Jerzego Thomke, później do jego spadkobierców, a wreszcie do Aleksandra Zipsera. Od niego nieruchomość zakupiła w 1864 r. Rozalia Fränkel, żona Adolfa. Transakcja umożliwiła rozbudowę i modernizację przedsiębiorstwa. Do celów produkcyjnych zaadaptowano m.in. dawny budynek gospodarczy przy ul. Kazimierza Wielkiego, a bielski budowniczy Gustaw Kunz w maju 1867 r. opracował plany kotłowni oraz wieżowego budynku, mieszczącego kolumnowy aparat destylacyjny. Nowe obiekty wzniesiono jako przedłużenie ku wschodowi oficyn posesji Lipnik 20 i 21.

Z dniem 1 lipca 1868 r. przedsiębiorstwo przekształcono w spółkę, którą tworzyli: dotychczasowy właściciel oraz jego synowie Samuel oraz Henryk. Informację o firmie zamieściła 4 kwietnia 1875 r. wiedeńska gazeta „Internationale Ausstellungs-Zeitung”: *Adolf Fränkel & Söhne, c.k. krajowo uprzywilejowana rafineria*



*i fabryka spirytusu, likierów, rosolisów oraz rumu w Białej (sic!) w Galicji [...] założona w 1850 r., przerabia aktualnie na sześciu aparatach z kotłami parowymi, 2 maszynach parowych, 2 pompach parowych, zatrudniając 20 robotników, ok. 12.000 wiader surowego spirytusu, 900 cetnarów cukru i 500 cetnarów różnych ziół zdrowotnych rocznie; sława firmy sięga daleko poza granice naszego cesarstwa i cieszy się wszędzie dobrą marką. Dochody ze sprzedaży zainwestowano w 1878 r. w budowę okazałej, piętrowej kamienicy (Lipnik 369) przy dzisiejszej ul. Krakowskiej 2.*

Adolf Fränkel zmarł po dłuższej chorobie 27 września 1880 r. w Lipniku jako wdowiec, spoczął na cmentarzu żydowskim w Lipniku. W nekrologu odnotowano, że był szefem firmy, członkiem rady gminnej Lipnika oraz c.k. Rady Powiatowej w Białej, cenzorem filii Banku Austro-Węgierskiego, a także członkiem zarządu Bielsko-Bialskiego Banku Handlowego i Przemysłowego, który założył z grupą miejscowych przemysłowców w 1869 r.

Firmę oraz nieruchomości odziedziczyli synowie: Samuel Fränkel (1841–1899) i Henryk Fränkel (1842–1921). W 1887 r. budowniczy Karol Korn sporządził plany budowy nowej kotłowni oraz budynku mieszczącego zbiorniki (w zachodniej części dziedzina fabrycznego), a także rozbudowy wieży aparatu destylacyjnego. Ostatecznie inwestycję przeprowadzono według nowych, nieco zmienionych w 1890 r. planów. Trochę później dostawiono od południa charakterystyczną, czworoboczną wieżę, wzorowaną na średniowiecznych budowach obronnych.

Samuel Fränkel, mieszkający wraz z rodziną w Wiedniu, umarł jesienią 1899 r., pochowano go w Lipniku. W firmie jego miejsce zajął bratanek, Zygmunt Fränkel, natomiast współwłaścicielami nieruchomości stali się: wdowa po Samuelu, Paulina z domu Tugendhat (ok. 1845–1918), jego syn Aron vel Alfred (1869–1923), żonaty z Elizą Wiedmann, a później z Jadwigą Schade, oraz córka Jenny (ok. 1870–?), żona adwokata dra Adolfa Adlera.

W 1908 r. fabryka zatrudniała 50 robotników, pracowały w niej dwie maszyny parowe o mocy 25 KM każda oraz liczne pompy parowe. Przerabiano surowy spirytus, przeważnie z Galicji, cukier z Moraw oraz owoce leśne i ogrodowe z terenów Austro-Węgier. Produkowano spirytus, uszlachetniany bongout, likiery, wina owocowe i soki owocowe. Rynkiem zbytu była monarchia austro-węgierska. W Bielsku znajdowała się tzw. filia ekspor-

towa przedsiębiorstwa, natomiast w głównych miastach Austrii i za granicą przedstawicielstwa.

W 1909 r. Henryk Fränkel wykupił udziały spadkobierców zmarłego brata Samuela, stając się jedynym właścicielem wszystkich nieruchomości w Lipniku: trzech domów mieszkalnych i fabryki. W czerwcu 1918 r. posesje te wpisano na rzecz firmy Adolf Fränkel & Söhne, a w 1920 r., już w odrodzonej Polsce, na przedsiębiorstwo: Adolf Fränkel i Synowie, fabryka przetworów spirytusowych S.A.

Henryk Fränkel zmarł w Wiedniu w grudniu 1921 r., również i on spoczął na cmentarzu żydowskim w Lipniku. Żonaty z Julią Silberstein (ok. 1852–1924), pozostawił sześcioro potomstwa. Trzy córki: Stefania Tschelnitz (1874–?), Róża Turnowski (1876–1929) oraz Elza Bärwald (ok. 1878–?) mieszkaly w Wiedniu, natomiast Adolfina (1885–1960), żona prof. Emanuela Fischera, w Waterlooo w Belgii. O synu Oskarze (przed 1880–?) wiadomo tylko, że poślubił Clarisse Leroi.

Kierownictwo fabryki w Lipniku, w 1925 r. przyłączonym do Białej, przejął najstarszy z rodzeństwa, Zygmunt Fränkel (1873–1943?). Ten w 1898 r. poślubił bielszczankę Stefanię Schäffer (1881–1936). Żona wraz z synem Stefanem i córką Lizą w grudniu 1901 r. przyjęła chrzest w kościele ewangelickim w Bielsku, później przeniosła się wraz z potomstwem do Londynu. Zygmunt przed 1921 r. związał się z bliżej nieznaną Leną Metzner.

Pod koniec lat 20. XX w. firma Adolf Fränkel i Synowie upadła po wielkiej aferze, związanej z eksportem spirytusu do objętych prohibicją Stanów Zjednoczonych. Podczas kontroli NIK-u stwierdzono, że Skarb Państwa stracił w ten sposób 2 miliony złotych. Sprawę opisywała szeroko ówczesna prasa. Zygmunt Fränkel jako główny oskarżony otrzymał wyrok sześciu miesięcy więzienia oraz nakaz zapłaty grzywny w wysokości 13 milionów zł. Jego dalsze losy nie są znane, najpewniej opuścił Białą.

W 1931 r. wszystkie posesje firmy przeszły na własność Powszechnego Banku Związkowego w Polsce S.A. Oddział w Bielsku-Białej. W wydzierżawionych obiektach rozpoczęła działalność fabryka dżemów Arnolda Politzera Arpol. Energii dostarczała maszyna parowa



Henryk i Julia Fränkel z rodziną, ok. 1910; obok seniorów m.in. synowie Zygmunt i Oskar z żonami i dziećmi  
📷 Z archiwum Kate Davies



Reklama, 1912

**Piotr Kenig** – bielszczanin, historyk, zainteresowany szczególnie dziejami Bielska-Białej w XVIII-XIX wieku. Kustosze i kierownik Starej Fabryki, oddziału Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej.



Dawna fabryka Fränkłów,  
późniejsza Arpolka  
Piotr Kenig

zakupiła Żydowska Gmina Wyznaniowa w Białej, która przeniosła tutaj swoje biura z ul. Nad Niwką (dzisiejszej ul. Stanisława Stojalskiego). W 1936 r. z dawnej posesji Lipnik 22 wydzielono odrębną parcelę budowlaną, na której wkrótce stanął modernistyczny dom mieszkalny (ul. Krakowska 6, właściciel nieustalony).

Podczas II wojny światowej nieruchomość fabryczną wykupił bliżej nieznaną Karol Schubert z Bytomia. Natomiast w okresie PRL-u działała tutaj fabryka przetworów owocowych, popularnie zwana Arpolką. Od 2006 r. w obiektach przy ul. Kazimierza Wielkiego 1 mieści się prowadzone przez Automobilklub Beskidzki Muzeum Motoryzacji, gromadzące zabytkowe samochody i motocykle, kierowane przez Jacka Balickiego.

### Moryc Reich

Erwin Hanslik w swojej książce o Białej (1909) odnotował wytwórní likierów Zygmunta Reicha Następcy (*Siegmund Reichs Nachfolger*), założoną w 1855 r. Podobnie jak w wypadku fabryki Fränkla, tak i tutaj informacje okazały się nie w pełni prawdziwe. Błędnie podano nazwę firmy, która winna brzmieć: Moryca Reicha Następcy (*Moritz Reichs Nachfolger*). Wątpliwą pozostaje też data jej założenia.

Wytwórnia ulokowana była na tyłach masywnego, piętrowego domu Lipnik 8 (do 1858 r. Lipnik 16), stojącego przy szosie cesarskiej, mieszczącego zajazd Pod Złotą Koroną. Zachodnią granicę posesji wyznaczała prowadząca w pola uliczka, zwana Zipsergasse<sup>2</sup>. Dzisiaj jej śladem biegnie wschodni pas ul. Lwowskiej, a teren po wyburzonych w 1977 r. zabudowaniach oraz przyległym ogrodzie wykorzystywany jest jako parking. W latach 30. i 40. XIX w. właścicielem tej nieruchomości był zaможny ziemianin, ewangelik Maciej Gasch, równocześnie posiadacz dóbr w Ligocie na Śląsku Cieszyńskim. Po jego śmierci w 1847 r. posesję w Lipniku odziedziczyli potomkowie, od których w latach 1884–1885 kupił ją izraelita Moryc Reich (1825–1898). W 1886 r. nabył także od Emanuela Krausa sąsiadujący od północy ogród.

o mocy 25 KM, zatrudniano 30 robotników oraz sześciu urzędników (1938). Produkowano marmoladę owocową, dżemy, konserwy owocowe, musztardę oraz soki owocowe.

Kamienicę przy ulicy Krakowskiej 2 w 1935 r.

Reich dopiero w 1872 r. zarejestrował w Sądzie Obwodowym w Krakowie swoją *fabrykę rosolisów, likierów, rumu i spirytusu w Lipniku koło Białej*. Nie wiadomo, czy działał w zabudowaniach wynajmowanych od Gaschów, czy też w innym miejscu. A może przejął bliżej nieznaną wytwórníę, założoną w 1855 r.? Z dniem 31 grudnia 1891 r. przekazał firmę synowi oraz, być może, zięciowi: wpisał na do rejestru handlowego Sądu Obwodowego w Wadowicach zwała się odtąd *Moritz Reich's Nachfolger, fabryka likierów, rumu i spirytusu oraz wyrób octu*, a jej właścicielami byli Zygmunt Reich i Henryk Lawner. Nieco później, w 1895 r. nieruchomość w Lipniku 8 przeszła drogą kupna w ręce starszego syna, dra Ludwika Reicha.

Moryc Reich zmarł 19 września 1898 r. W „Silesii” napisano, że przez szereg lat był członkiem lipnickiego Wydziału Gminnego oraz przewodniczącym Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Lipniku-Białej. Żonaty z Różą Gross (1820–1890), pozostawił trzech synów. Dr Ludwik Reich (1852–1906) działał jako lekarz w Bielsku, natomiast Samuel Reich (1860–1909), adwokat w Białej, członek Rady Miejskiej i Rady Powiatowej, do 1901 r. przesował Izraelickiej Gminie Wyznaniowej. O ich małżonkach brak informacji. Zygmunt recte Salomon Reich (1866–1909), współwłaściciel fabryki, poślubił Herminę Rosner (1856–1912). Nestor rodu miał też zapewne kilka córek, jedna z nich przed 1890 r. została żoną bliżej nieznanego dra Grossa w Lundenburgu (Brzeclaw na Morawach).

Miesiąc po śmierci ojca Ludwik Reich sprzedał posesję Lipnik 8 Józefowi Falterowi, c.k. radcy komercyjnemu, kupcowi, członkowi Izby Handlowej i Przemysłowej w Krakowie oraz Krajowej Rady Kolejowej. W 1901 r. z firmy odszedł dotychczasowy wspólnik Zygmunta, Henryk Lawner, zastąpił go Ludwik Lewicki, kupiec z Lipnika.

Po śmierci Józefa Faltera (1905) właścicielami posesji w Lipniku zostali małoletni: Róża, Roman, Franciszek oraz Ernest Reichowie. Być może były to dzieci Zygmunta i Herminy, jednak brak ksiąg metrykalnych ponownie skazuje nas na spekulację w tym zakresie<sup>3</sup>.

Wkrótce potem w problemy finansowe popadła wytwórnia likierów. W księdze adresowej miasta z 1908 r. odnotowano, że postawiono ją w stan likwidacji, a jej właścicielem jest Towarzystwo Kredytowe i Oszczędnościowe w Białej. Co ciekawe, równolegle opublikowano inserat, z którego wynika, że należała ona wówczas do bliżej nieznanego spółki Johann P. Sembrat & Comp: *Cesarsko-królewska krajowa uprzywilejowana rafineria spirytusu, fabryki likierów, rumu, octu i musztardy*



Reklama, 1908

Reprodukcje  
archiwalne  
ze zbiorów

**MB**  
Muzeum  
Historyczne  
w Bielsku-Białej

*M. Reicha Następcy, Biała / [...] / Import rumu Jamajka, araku i koniaku. Specjalność: Reicha gdańska prawdziwa podwójna kminkówka (najprzedniejszy likier kminkowy), likier Grand Manru, najdelikatniejsze, prawdziwie polskie likiery owocowe.* Według Hanslika korzystano w tym czasie z silnika elektrycznego, maszyny parowej i sześciu aparatów destylacyjnych. Surowy spirytus pochodził z Galicji, tam też głównie trafiały gotowe produkty; część wyrobów eksportowano do Brazylii, Australii i Stanów Zjednoczonych.

Przejście firmy w obce ręce przyczyniło się do przedwczesnej śmierci Zygmunta Reicha, który zmarł nagle 13 października 1909 r. Prasa zanotowała, że podobnie niespodziewanie z powodu udaru odeszli jego bracia: Ludwik i Samuel. Wiosną 1911 r. względem przedsiębiorstwa wdrożono postępowanie licytacyjne, które jednak wstrzymano. Do pomieszczeń dotychczasowej wy-



twórni alkoholi wprowadziła się, na zasadzie wynajmu, wytwórnia świec Franciszka Sezemsky'ego, filia firmy z Jungbunzlau (Młada Boleslav) w Czechach.

Nieruchomość w Lipniku 8 pozostawała własnością rodzeństwa Reichów do 1919 r., kiedy to zakupili ją Wilhelm Glasner oraz Józef i Szymon Nachmannowie. Nieco później firma Sezemsky'ego przeniosła się do Białej, na ul. Cyniarską. Jej miejsce zajęła, także na zasadzie dzierżawy, Fabryka Przetworów Chemicznych Fränkel & Goldklang, Spółka z o.o. w Bielsku, której właściciele, Samuel Fränkel (1875–1937)<sup>4</sup> i Herman Goldklang, działali w Bielsku od 1903 r.

W 1923 r. posesję podzielono. Zabudowania przemysłowe oraz ogród nabyła wyżej wspomniana Fabryka Przetworów Chemicznych, natomiast Glasner i Nachmannowie zachowali budynek od strony

ul. Krakowskiej. Ostatecznie w 1927 r. część fabryczna i ogród stały się wyłączną własnością Samuela Fränkla.

Także firma Fränkel & Goldklang przeżywała w następnych latach poważne problemy finansowe, m.in. z uwagi na światowy kryzys gospodarczy. Względem należących do niej posesji fabrycznej trzykrotnie wdrażano postępowania licytacyjne. Ostatecznie w 1938 r. formalnym właścicielem nieruchomości został Cezary Kraminer, bielski urzędnik i działacz syjonistyczny, członek rady nadzorczej żydowskiego Bielsko-Bialskiego Banku Spółdzielczego w Bielsku.

Samuel Fränkel zmarł w 1937 r., jednak firma działała dalej. „Rocznik Polskiego Przemysłu i Handlu” z 1938 r. informował, że jej zarząd mieścił się w Bielsku przy ul. Matejki, natomiast zakład ulokowany był w Białej przy ul. Zipsera 4. Kapitał zakładowy wynosił 260.000 zł. Napędü dostarczała maszyna parowa o mocy 45 KM, terytorium fabryki liczyło 6.000 m<sup>2</sup>, budynki fabryczne ok. 900 m<sup>2</sup>, a pozostałe zabudowania ok. 450 m<sup>2</sup>. Produkowano środki dezynfekcyjne, ekstrakty garbarskie, oleje żywiczne oraz żywicę drzewną.

Późniejsze losy przedsiębiorstwa pozostają nieznane. Po II wojnie światowej nieruchomość wpisano formalnie na rzecz Skarbu Państwa dopiero w 1962 r. W ostatnim okresie działalności, do lat 70. XX w., znajdować się tutaj miał zakład filialny Arpolki, fabryki przetworów owocowych, działającej w dawnej fabryce Fränklów.



Ul. Jana Piechy, dawniej Zipsera, 1977; z prawej dom Lipnik 8  
 Kazimierz Gargul

Wyburzanie dawnej fabryki Reicha, 1977  
 Mieczysław Tomiczek

Pomniki Róży i Moryca Reichów na cmentarzu żydowskim w Bielsku  
 Piotr Kenig



<sup>1</sup> Zniszczenie akt metrykalnych Izraelskiej Gminy Wyznaniowej w Lipniku-Białej podczas II wojny światowej znacząco utrudnia odtworzenie wzajemnych powiązań i powoduje, że wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi.

<sup>2</sup> Nazwa upamiętniała burmistrza Lipnika, Wilhelma Ericha Zipsera (1856–1909), właściciela folwarku przy dzisiejszej ul. Kazimierza Wielkiego 26 oraz dużego kompleksu gruntów w tej części miejscowości.

<sup>3</sup> W księdze adresowej miasta z 1914 r. jako właścicielka posesji odnotowana została bliżej nieznaną Bronia Reich, stoi to w sprzeczności z zapisami w księdze gruntowej.

<sup>4</sup> Nie wiadomo, czy był spokrewniony z opisanymi wcześniej potomkami Adolfa Fränkla.

# Pod okiem Marcina Lutra

Kiedy wpiszymy w nawigację współrzędne 49°49'21,4"N 19°02'27,8"E, poprowadzi nas ona do samego centrum, leżącego u stóp Beskidów miasta, które od 1951 roku nosi dwuczłonową nazwę Bielsko-Biała. Gdy już znajdziemy się w tym miejscu, zobaczymy przed sobą świadectwo życia i służby wielu pokoleń luteranów. Świadectwo wskazujące na niezwykle historię, ale także bogatą teraźniejszość. A czasy obecne to przede wszystkim kontynuacja niesamowitej spuścizny poprzednich generacji, które swoim zaangażowaniem i poświęceniem przyczyniły się do rozwoju nie tylko tego miejsca, ale też miasta i regionu.

Chociaż sam plac, noszący dziś nazwę od wittenberskiego reformatora Marcina Lutra, swoją historię zaczyna w roku 1781, to korzenie wiary budujących go poprzedników sięgają o wiele wcześniej. Począwszy od pierwszych głosicieli idei religii chrześcijańskiej, poprzez docierające na te tereny nurty husyckie, a za sprawą kupców i studentów myśl reformacyjną, aż do chwili, gdy zasiadający na zamku w Cieszynie książę Wacław Adam przyjął wyznanie reformacyjne jako panujące w jego księstwie.

Pierwsza wzmianka o bytności ewangelików w Bielsku sięga roku 1550 i mówi o istniejącym już wtedy ewangelickim cmentarzu.

Trudnym okresem, jaki przyszło przeżywać bielskim luteranom, była kontrreformacja. Czas, kiedy nie wolno było im spotykać się na nabożeństwach i sprawować kultu religijnego. Pozostali jednak wytrwali i pełni wiary. Nie można również odmówić im odwagi, ponieważ nie podporządkowali się zakazom i spotykali się na

ks. **Krzysztof Cienciąła**  
– absolwent Chrześcijańskiej  
Akademii Teologicznej  
w Warszawie, proboszcz  
Parafii Ewangelicko-  
-Augsburskiej Bielsko.  
Pasjonat gry na gitarze,  
fotografii, podróży i sportu.



nielegalnych nabożeństwach w pobliskich lasach, zwoływanych przez przybywających z zagranicy duchownych. Takim znanym miejscem tajnych ewangelickich nabożeństw jest stół ołtarzowy Jan, do którego można w łatwy sposób dotrzeć drogą wiodącą z bielskich Błoni na Kozią Górkę.

Kiedy ten ciężki czas skończył się, na mocy patentu tolerancyjnego cesarza Józefa II bielscy ewangelicy otrzymali możliwość wybudowania domu modlitwy: poza murami okalającymi miasto, bez wieży i dzwonów, z drzwiami, które nie mogły wychodzić na główną ulicę.

19 marca 1782 r. wmurowano kamień węgielny pod budowę świątyni. Z czasem powstała plebania, szkoła, kolejna szkoła, sierociniec, alumneum. Te wszystkie budynki świadczą o wspaniałej przeszłości tego miejsca, które mogłoby opowiedzieć niejedną radosną, ale i smutną historię. Podkreśla to odsłonięty w 1900 r., jedyny dziś w Polsce, pomnik Marcina Lutra, który spogląda na historycznie najstarszą część Bielska, trzymając w ręku Biblię. Jakby chciał dać do zrozumienia miastu, na czym powinno się opierać w budowaniu swojej przyszłości.

Dzieje tego miejsca były burzliwe. Ich kolejny etap rozpoczął się po II wojnie światowej. Niemieckojęzyczna większość tutejszej parafii zniknęła. Bogaci mieszkańcy, fabrykanci, burmistrzowie, naukowcy z żalem opuścili miasto, pozostawiając niezwykle dorobek, o którym świadczy niemy świadek przeszłości – stary ewangelicki cmentarz, oddalony zaledwie o kilkadziesiąt metrów od pomnika reformatora.

Obecnie społeczność Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Bielsko, spadkobiercy historii Bielskiego Syjonu, jak w swoim kazaniu w czasie poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę kościoła Zbawiciela nazwał to miejsce ks. Traugott Bartelmuss, w swojej kartotece odnotowanych ma niewiele ponad 800 wiernych.

Pomimo niewielkiej liczebności parafia stara się być żywa, zaangażowana i widoczna. A nie jest łatwo zaistnieć w mającym 170 tys. mieszkańców, bardzo rozwiniętym pod wieloma względami mieście z przebogatą ofertą kulturalną.

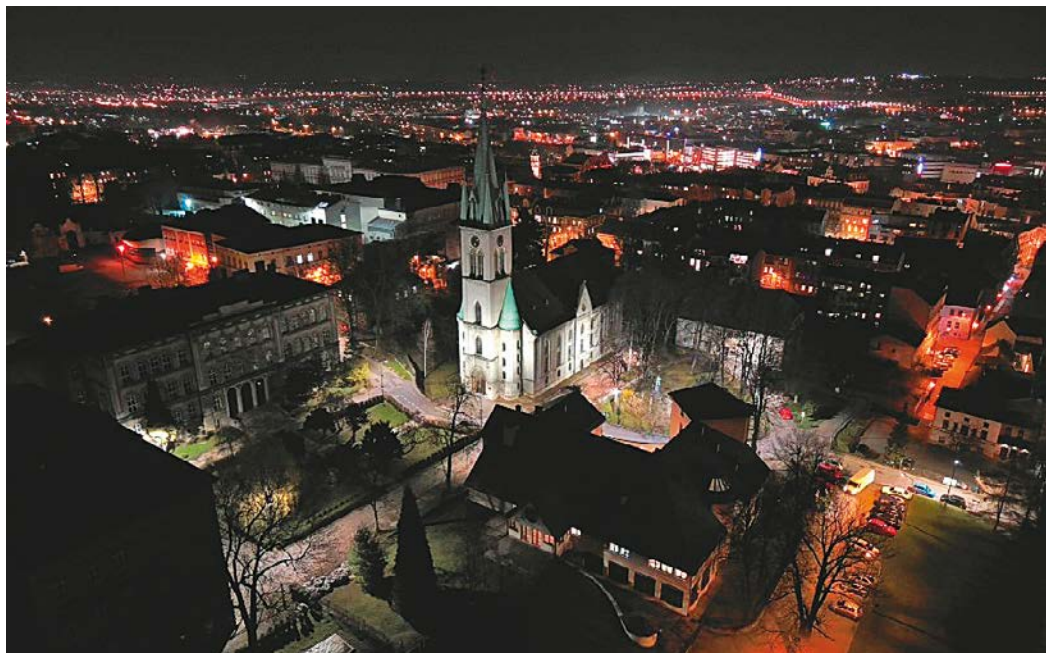
Jednak gen Bielskiego Syjonu nadal budzi w dzisiejszych luteranach potrzebę działania. Pomnik Marcina Lutra w roku 2025 będzie obchodził 125. rocznicę odsłonięcia. Stojący na postumencie reformator od tyłu lat niezmiennie wskazuje na źródło motywacji do działania, jakim jest słowo Boże. Tak jakby i do dzisiejszych mieszkańców Bielska-Białej chciał powiedzieć: spójrzcie, jak wiele dobrego może zdziałać garstka ludzi chcących poświęcić się dla dobra społeczności, którą tworzą, nie oczekując z tego tytułu żadnych profitów. Patrząc z okien plebanii można dostrzec, że zdjęcie pod pomnikiem Marcina Lutra jest niezwykle pamiątką dla setek odwiedzających to miejsce turystów.

Bielski Syjon dla współczesnych ewangelików wciąż pozostaje metaforą miejsca, w którym człowiek spotyka się z wszechmogącym Bogiem. Spotyka się w modlitwie, wspólnym wychwalaniu Boga pieśnią, wsłuchiwaniu się w Jego słowo, sprawowaniu sakramentów, ale i działaniu dla dobra drugiego człowieka.

Warte podkreślenia jest to, że w kościele Zbawiciela dwa najważniejsze dla wiernych punkty nabożeństwa, jakimi są głoszenie słowa Bożego i sprawowanie sakramentu komunii świętej, mają swoją symbolikę w usytuowanych centralnie ambonie i ołtarzu.

Nabożeństwo w kościele Zbawiciela odbywa się w każdą niedzielę i święta. Tym, co łączy wszystkie wyznania chrześcijańskie, jest Biblia. Reformacja przyniosła ze sobą zasadę *sola scriptura*, która zwraca uwagę na istotę Bożego słowa w budowaniu wiary. Ta zasada sprawia, że do ewangelickiego kościoła na nabożeństwo, bez obaw, może przyjść każdy chrześcijanin. Zaproszeni są oczywiście wszyscy, którzy poszukują Boga.

W czasie nabożeństwa odbywającego się w kościele swoje nabożeństwo w budynku plebanii przeżywają także dzieci. Jest ono tradycyjnie nazwane szkółką niedzielną, co nawiązuje do czasów, kiedy dla pracujących w fabrykach czy na roli dzieci jedynym dniem na spo-



tkania i naukę była niedziela. Dziś dzieci słuchają historii biblijnych, śpiewają, wykonują różne prace i przy tym dobrze się bawią.

W budynku plebanii zarejestrowany jest również międzyszkolny punkt katechetyczny, do którego przychodzą (a właściwie w większości przyjeżdżają), uczniowie z różnych szkół rozsianych po całym mieście i nie tylko. Można więc powiedzieć, że w przypadku Bielskiego Syjonu katecheza odbywa się w salce przy parafii. Ma to ogromne znaczenie, ponieważ dzięki temu dzieci i młodzież potrafią oddzielić lekcje religii od innych zajęć w szkole. Są w stanie zrozumieć i lepiej poznać swoją ewangelicką przynależność i miejsce, za które kiedyś same wezmą przecież odpowiedzialność.

Ważną część działalności parafii stanowi Ewangelicki Dom Opieki Soar. Tak jak biblijny Lot schronił się uciekając przed skutkami sądu Boga nad Sodomą i Gomorą, tak ludzie w słusznym wieku mogą odnaleźć w Soarze swój dom, pewne schronienie i opiekę.

Diakonia parafii to również wspieranie tych, którzy znaleźli się w szczególnie trudnej życiowej sytuacji. W budynkach będących jej własnością azyl otrzymali uchodźcy z Afganistanu czy objętej wojną Ukrainy. Warto też wspomnieć, że w latach 80. XX w., gdy w sklepach na półkach nie było wiele, parafia rozdzielała paczki żywnościowe, przychodzące do Polski z zaprzyjaźnionych kościołów w Niemczech, Holandii czy Stanach Zjednoczonych. Jeszcze pod koniec lat 90. docierały tu transporty z używaną odzieżą, które były rozdawane potrzebującym, nie tylko współwyznawcom. Gdy na Dolnym Śląsku w 1997 r. miała miejsce powódź stulecia, w parafii z całego terenu diecezji cieszyńskiej zbierana była żywność, środki czystości i ubrania dla powodzian.

Jedyny w Polsce pomnik Marcina Lutra (na sąsiedniej stronie) i Bielski Syjon nocą  
📷 Archiwum Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Bielsko



Brama na stary cmentarz  
 📷 Archiwum Parafii  
 Ewangelicko-Augsburskiej  
 Bielsko

Wracając jednak do teraźniejszości. Bielski Syjon jest miejscem znanym z powodu swojego zaangażowania w dziedzinie kultury. W kościele Zbawiciela mają miejsce koncerty gromadzące liczną publiczność. Tu przez wiele lat gościły chóry i zespoły cerkiewne w ramach Festiwalu Sacrum in Musica. Odbywały się przedstawienia teatralne, festiwale, koncerty organowe (grane na wspaniałym prawie 100-letnim instrumencie słynnej firmy Rieger) i jazzowe oraz wiele innych wydarzeń, które zapadły głęboko w pamięć uczestników. Od wielu lat parafia włącza się czynnie w organizowaną przez miasto Noc Muzeów, otwierając kościół Zbawiciela, zapraszając prelegentów, chóry i zespoły muzyczne. Tradycją stało się także to, że w tym czasie można zwiedzić stary cmentarz, posłuchać o jego historii i ludziach, którzy kiedyś tworzyli to miasto, a dziś często zapomniani spoczywają w tym uroklivym jego zakątku.

Przy bielskiej parafii ewangelickiej, bez przerw, istnieje chór, który początki swojej powojennej działalności datuje na rok 1945. Chór, który obecnie nosi nazwę Graduale, może poszczycić się wieloma sukcesami; koncertuje nie tylko w Polsce, ale i w wielu miastach Europy. Tu spotykają się objęte duszpasterstwem osoby niesłyszące, należące do różnych wyznań. Swoje spotkania mają też członkowie Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego, świeckiej organizacji o charakterze społeczno-kulturalnym. Gromadzi się Koło Pań, które mogą wysłuchać ciekawych wykładów, porozmawiać na różne tematy, wspólnie wykonać świąteczne ozdoby. Dla osób starszych odbywają się bezpłatne zajęcia ruchowe. Działa również niewielki klub seniora. Oczywiście jest i oferta skierowana do młodzieży.

Reformacja wniosła ze sobą rozkwit oświaty. Ważne było, aby słowo Boże docierało do każdego wiernego. Należało więc zadbać o to, aby zwalczyć analfabetyzm,

stąd obok kościoła wybudowano szkołę. Na Bielskim Syjonie mamy aktualnie szkołę podstawową, średnią i wyższą. W ten sposób zabytkowe budynki, które powstawały setki lat temu, pełnią funkcje edukacyjne i regularnie zapełniają się uczniami i studentami (głównie za sprawą powstałego wiele lat temu Towarzystwa Szkolnego im. Mikołaja Reja).

Możemy tu znaleźć też Augustanę, budynek nieco młodszy, którego jedną część stanowi ośrodek wydawniczy, a druga przeznaczona jest na działalność kulturalną – w dużej sali odbyło się wiele ciekawych spotkań parafialnych, ogólnokościelnych i ekumenicznych. Tu miały miejsce wystawy artystyczne, jak i historyczne, a obecnie organizowane są rozmaite zajęcia dla uchodźców z Ukrainy, w szczególności dla ich dzieci. W budynku Augustany swoją siedzibę ma również biskup diecezji cieszyńskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

Czas niestety biegnie nieubłaganie, co widać po coraz bardziej nadgryzionych jego zębem budynkach Bielskiego Syjonu. Nie jest dziś łatwo pozyskać fundusze na ich remonty. Mimo to społeczność ewangelicka chce być aktywna i na miarę swoich możliwości działać oraz dbać o tę zabytkową, piękną część miasta starającego się o zaszczytne miano Europejskiej Stolicy Kultury<sup>1</sup>. Tę kulturę przez wieki tworzyli i nadal to czynią także mieszkający tu luteranie: duchowni, politycy, burmistrzowie, naukowcy, twórcy i rzemieślnicy. Ich spuścizna widoczna jest w wielu miejscach Bielska-Białej. Mamy nadzieję, że miejsce to i po nas będzie wartościowym zakątkiem, wnoszącym w życie przyszłych pokoleń wiele wspaniałych wartości.



<sup>1</sup> W programie działań uświetniających rok ESK znalazł się projekt „Drugi oddech cmentarzy”, w ramach którego cmentarz ewangelicki ma zostać udostępniony mieszkańcom. Jak czytamy w formularzu aplikacyjnym: *Dotychczas odcięte od tkanki miejskiej murem, zamknięte i zapomniane stare cmentarze: ewangelicki i żydowski będą udostępnione w formie parków pamięci – enklaw starodrzewu zieleni miejskiej, zabytków sztuki cmentarnej, miejsc wytchnienia od zgiełku miasta, ciszy i refleksji oraz pamięci o znamienitych rodach fabrykantów, włodarzy miasta, mieszczan. Wprowadzenie roślin przyjaznych dla świetlika świętojańskiego (Lampyrus noctiluca) pozwoli wieczorową porą cieszyć się z korzyści płynących z wdrożonej polityki Dark Sky. To magia miejsc odzyskanych na mapie miasta, białych plam wypełnionych światłem pamięci, splatających przeszłość z teraźniejszością. Hologramy znanych i ważnych obywateli ulokowane w przestrzeni miasta historycznie z nimi związanej, będą wskazywać drogę ku parkom pamięci.*

Danuta Branna

Pod koniec 2023 roku pojawiło się w księgarniach trzecie wydanie książki *Lutyńskie tango i inne historie wojenne z Zaolzia*. Jak podaje wydawca: *Lektura [...] porusza, ale i wciąga. Niektóre fragmenty mogłyby posłużyć jako scenariusz filmu sensacyjnego, co jednak najważniejsze – wszystkie opisywane wydarzenia zdarzyły się naprawdę.*

**Danuta Branna:** Jak doszło do tego, że zainteresowałaś się losami wojennymi Polaków z Zaolzia?

**Otylia Toboła:** Na przełomie lat 70. i 80. XX w. na potrzeby polskich audycji czechosłowackiego radia w Ostrawie, zaczęłam nagrywać wspomnienia okupacyjne.

W momencie wybuchu II wojny światowej Zaolzie było od 11 miesięcy częścią Polski. Historie mieszkańców Zaolzia były więc podobne do losów innych Polaków walczących z okupantem. Uświadomiłam sobie, że Polacy na Zaolziu czuli się wtedy (kto wie, czy nie po raz ostatni?) w pełni częścią narodu polskiego. Moi rozmówcy podkreślali, że walczyli o Polskę. Może brzmi to patetycznie, ale właśnie to słyszałam we wszystkich opowiadaniach. Ich walka o Polskę, emocje temu towarzyszące były powodem, że zgodzili się o swym, nieraz tragicznym, życiu opowiedzieć, że chcieli do tych dramatycznych momentów wracać.

Bardzo lubiłam słuchać tych opowieści. Fascynowało mnie, że takie niesamowite historie wydarzyły się naprawdę. W rozgłosni moim „chlebem powszednim” było zbieranie informacji o polskiej mniejszości w Czechosłowacji, jej problemach, wydarzeniach, działalności kulturalnej. Pracując w radiu, mogłam też robić to, co mnie najbardziej poruszało – słuchać czyichś prawdziwych historii.

**Niebawem zaczęłaś swoje wojenne reportaże publikować również drukiem.**

Moje nagrania miały w radiu premierę, czasami jakąś powtórkę, a następnie materiał trafiał do archiwum. Było mi trochę szkoda tych wspomnień i zaczęłam je przepisywać. W trakcie pracy uświadomiłam sobie, że nagra-



## Wspomnienia, które trzeba zachować

Rozmowa z **Otylią Tobołą**,  
polską dziennikarką i pisarką z Zaolzia

ne treści trzeba skonfrontować z faktami historycznymi. Opowiadając o swych przeżyciach, ludzie mogą czasami puścić wodze fantazji, o czymś zapomnieć, w rezultacie ich przekaz nie pasuje do kontekstu historycznego. Musiałam więc przygotować się merytorycznie, by do drukowanych wspomnień nikt nie mógł się przyczepić.

**Prowadziłaś badania archiwalne?**

Częściej korzystałam z fachowych publikacji historycznych. Pod koniec lat 80. ubiegłego stulecia spotkałam profesora Mečislava Boráka, wybitnego czeskiego historyka, zajmującego się II wojną światową. Trochę ostudził mój zapał, zwracając uwagę na to, abym jako Polka

**Danuta Branna**

– absolwentka archiwistyki na uniwersytecie w Brnie, redaktorka, tłumaczka. Od 1990 r. działa we władzach Kongresu Polaków w Republice Czeskiej, jest założycielką Ośrodka Dokumentacyjnego KP.

nie zaczęła przedkładać nad obiektywizm własnych racji narodowych.

Na Zaolziu, terenie mieszanym pod względem narodowościowym, obiektywizm jest szczególnie ważny. Kiedy powiemy, że w 1919 r. Czesi wypędzili stąd 16 tys. Polaków, usłyszymy, że w 1938 r. Polacy wypędzili 30 tys. Czechów. Tego rodzaju licytacja na krzywdy do niczego nie prowadzi.

**Zbiór zbeletryzowanych reportaży *Lutyńskie tango* pojawił się w 2003 r. Obecnie, trzeciemu wydaniu towarzyszy pierwsze wydanie czeskiej wersji.**

Wznowienie *Lutyńskiego tanga* oraz przygotowanie czeskiej wersji zaproponował mi Kongres Polaków w Republice Czeskiej. Była to okazja do uzupełnienia i poszerzenia książki, ale przede wszystkim do zaprezentowania sytuacji Polaków z Zaolzia w czasie okupacji czeskiemu czytelnikowi.

Wykorzystałam fakt, że niektórzy moi bohaterowie wspominali również przed- i powojenne czasy. Opisałam historię młodej dziewczyny z Rychwałdu. W 1938 r. zakochała się w polskim poruczniku, wyszła za niego za mąż i wyjechała do Rembertowa. Na przykładzie jej losów mogłam przedstawić historię stosunków czesko-polskich w dramatycznych momentach, ale także obronę Warszawy, życie w okupowanym mieście, powstanie warszawskie... Dla Czechów te karty polskiej historii są raczej mało znane.

Promocja czeskiej wersji  
*Lutyńskiego tanga* w Karwinie  
Danuta Chlup/  
„Głos. Gazeta Polaków  
w Republice Czeskiej”



### **Rozpoczynasz książkę od wybuchu wojny.**

Pierwsza część to seria krótkich obrazków. Wybrałam tylko niektóre historie, by pokazać kampanię wrześniową, ucieczkę przed nadchodzącym okupantem. Są też ciekawostki, jak opowiadanie o czeskim lotniku, którego wojna zastała w ośrodku szkoleniowym w Dęblinie i który przeżył tam atak bombowy na lotnisko. Czescy lotnicy wracający po wojnie z Zachodu do kraju byli więzieni, torturowani, on sam został zesłany do kopalń w Ostrawie. Nie zdziwiło mnie, że najpierw nie chciał rozmawiać. Kiedy jednak wyjaśniłam mu, że zależy mi na tym, aby dowiedzieć, jak czescy lotnicy chcieli w 1939 r. pomóc Polakom, zgodził się.

Jest też historia pochodzącego z Zaolzia założyciela Szarych Szeregów, wspomnienie o pierwszej egzekucji Polaków 18 września 1939 r. w lesie przy kopalni Barbara w Karwinie – momenty, które Zaolzie wpisują w wojenną historię Polski.

### **Drugą część książki, wysoko ocenianą przez profesora Mečislava Boráka, autora wstępu do *Lutyńskiego tanga*, poświęciłaś ruchowi oporu na Zaolziu.**

Ciekawostką jest powstanie pierwszego oddziału partyzanckiego na terenie byłej Czechosłowacji. Założył go i prowadził zaledwie 17-letni harcerz, który przeszedł kurs dywersji i szkoleń na Węgrzech. Po powrocie Polaków, ukrywających się po lasach z obawy przed prześladowaniami, zorganizował pierwszy oddział partyzancki. Powstawały też siatki szpiegowskie. Największą kierował Jan Margiciok, pseudonim August, który w każdej miejscowości Zaolzia – od Bogumina po Mosty – miał swoich agentów. Bez dzisiejszych komórek i telefonów potrafił do 24 godzin uzyskać informacje o wszystkich interesujących go sprawach. Umożliwiała to sieć skrzynek, obsługiwanych przez młodych ludzi z różnych warstw społecznych.

Do 48 godzin wszystkie informacje siatki Augusta były już w sztabie ZWZ – AK w Krakowie. W ciągu dwóch lat istnienia nie wpadł ani jeden kurier. Dopiero kiedy okupantom udało się wprowadzić do siatki konfidenta, rozbito ją.

Czeski czytelnik często nie uświadamia sobie, że sytuacja ludności zaolziańskiej różniła się od sytuacji ludności czeskiej w Protektoracie Czech i Moraw. Niemcy potrzebowali ludności Protektoratu do pracy w fabrykach zbrojeniowych. Ludność Zaolzia przeznaczona była do germanizacji lub eksterminacji. Różnice dotyczyły również ruchu oporu, w który na terenie Zaolzia od początku angażowali się przedstawiciele wszystkich

środków: robotnicy, rolnicy, duchowni, żołnierze, studenci nauczyciele. Na terenie Protektoratu ruchu oporu organizowały elity, przeważnie wojskowe.

**Trzecią część książki nazwałaś „W polskich siłach zbrojnych”.**

Tu najdłuższe jest opowiadanie Janka Lachety. Ten zwykły chłopak, sportowiec, opowiada, jak skakał na nartach i chciał prowadzić normalne życie. Wojna jednak wciągnęła go w swoje tryby. Przeżył kawał świata, przeżył dramatyczne chwile w Tobruku, pod Gazelą, na wodach Atlantyku.

Jan Gazur to Jaś z Jabłonkowa, o którym pisze Melchior Wańkowicz w książce *Monte Cassino*. W kolejnym opowiadaniu pojawiają się żołnierze września w Polsce i czerwca we Francji, którzy brali udział w inwazji alian-tów w Normandii.

**Zaolziacy byli jednak w czasie wojny również na Wschodzie.**

Opublikowanie losów osób, które znalazły się pod sowiecką okupacją, stało się możliwe dopiero po zmianie systemu politycznego w Czechosłowacji w 1989 r. To wspomnienia Zaolziaków, którzy uniknęli losu ofiar zbrodni katyńskiej. Z Zaolziem jest związanych ponad 500 takich ofiar.

**Pierwsze z opowiadań tej części to wyjątek – nie przedstawia wspomnień z wydarzeń wojennych, tylko wyjazd czeskiej ekipy telewizyjnej do Katynia.**

Kiedy, dzięki zmianom ustrojowym w 1989 r., stało się możliwe ujawnienie wcześniejszego tabu, historyk Mečislav Borák opublikował materiały dotyczące ofiar okupacji sowieckiej z terenów ziem czeskich. Na ich podstawie zaczęły się do niego zgłaszać kolejne osoby, których krewni w czasie wojny zaginęli na wschodzie. Na pierwsze spotkanie, zorganizowane przez Zarząd Główny Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, przyjechało do Czeskiego Cieszyna ponad 150 osób z całej niemal Czechosłowacji. Przynosili dokumenty, listy, było to bardzo wzruszające spotkanie.

Kiedy 13 kwietnia 1990 r. Michał Gorbaczow oficjalnie przyznał, że odpowiedzialność za zbrodnię katyńską ponosi Związek Sowiecki, Mečislav Borák przedstawił w studio regionalnym telewizji w Ostrawie pomysł na dokument o Katyniu. Zaakceptowano go i czeska telewizja była bodajże trzecim sztabem (po dwóch polskich), który w Katyniu kręcił film (*Cienie sumienia*).

**Miałaś okazję współpracować przy jego realizacji.**

Po przyjeździe do Smoleńska odwiedziliśmy tamtejsze radio. Był tam dziennikarz, który rozmawiał ze świad-

kami zbrodni. Nam na to nie pozwolono. Przydzielono nam natomiast pracownika KGB z Moskwy, który miał być naszym przewodnikiem. Pierwszego dnia z jego powodu niewiele mogliśmy w lesie zobaczyć. Wieczorem koledzy filmowcy postanowili go upić i rzeczywiście na-za jutrz stał się już mniej „opiekuńczy”. W Katyniu spotkaliśmy członków rodzin katyńskich. Później również na Zaolziu powstało takie stowarzyszenie.

Inny czeski film *Zločin jménem Katyň* (Zbrodnia o imieniu Katyń) był prezentowany na wielu krajowych i zagranicznych festiwalach filmów dokumentalnych. Został najczęściej nagradzany dokumentem ostrawskiej telewizji.

**Wróćmy jednak do książki. Jej ostatnią część nazwałaś „Trudne sąsiedztwo”.**

Tu zostały zgromadzone opowiadania mówiące nie tylko o okupacji, ale też o latach wcześniejszych i późniejszych. Starałam się pokazać to, co miało wpływ na kształtowanie się postaw i mentalności moich bohaterów. Nawet to, że ci najwięksi polscy fanatycy stawali się w pewnych sytuacjach największymi czeskimi fanatykami.

Dla mnie najmocniejsze są chyba losy Józefa Łupińskiego, który po raz pierwszy usłyszał język czeski w 1919 r., gdy miał pięć lat, a do jego domu przyszli czescy żołnierze. Na jego przykładzie widać, jakim wielonarodowościowym konglomeratem jest ludność zaolziańska. Ojciec wysłał małego Józka do czeskiej szkoły, bo inaczej groziła mu utrata pracy. Później chłopiec uczył się w niemieckiej szkole handlowej. Pracował w sklepie u Żyda. Został powołany do czechosłowackiego wojska. W 1938 r. służył w polskiej policji. Uciekł Sowiecom z transportu do obozu. W czasie okupacji był więziony, spędził ponad cztery lata w obozach koncentracyjnych. A po skończeniu wojny i powrocie do domu został przez fałszywych świadków niesłusznie oskarżony o strzelanie do Czechów w 1938 r.

**Czy tematyka wojenna budzi w Czechach zainteresowanie?**

W ostatnim czasie przypomniana została w książce popularnej czeskiej autorki beletrystki, a także w reportażu Telewizji Czeskiej zbrodnia w Żywocicach, popełniona w odwecie za wykonanie wyroku na dwóch sadystycznych gestapowcach. Niemcy 6 sierpnia 1944 r. zamordowali 36 mężczyzn z tej i okolicznych wiosek, przede wszystkim Polaków.

Dziś trauma potomków ofiar, w większości już szczechizowanych, wykorzystywana jest do obwiniania za tę niemiecką zbrodnię polskiego ruchu oporu – konkretnie

Spotkanie autorskie  
w Jabłonkowie  
Renata Staszowska/  
„Zwrot. Polacy  
w Czechach online”

żołnierzy oddziału AK Józefa Kamińskiego „Strzały”, stworzonego głównie przez miejscowych młodych Polaków. Krótko mówiąc, gdyby nie było ruchu oporu, nie byłoby ofiar. A przecież Niemcy postępowali tak samo w całej okupowanej Europie.

Czeska telewizja wyemitowała reportaż, w którym wspomniano karczmarza zastrzelonego wówczas w swojej karczmie podczas przeciągającej się do późnej nocy libacji alkoholowej z gestapowcami. O tej postaci, na podstawie rozmów ze świadkami, napisał Mečislav Borák – że miejscowi go nie lubili, ponieważ przyjaźnił się z nazistami. W reportażu telewizyjnym karczmarz został jednak nazwany 37. ofiarą zbrodni żywocickiej. Z kolei żołnierzy AK przedstawiono jako synów „folksdojczów”, którzy przed służbą w Wehrmachcie uciekli do lasu i żeby przeżyć, kradli miejscowym żywność.

Taki pogląd jest nie tylko żenujący i naiwny, ale też niebezpieczny. Od ponad 20 lat codziennie przekonujemy się, że wojna i popełnione okrucieństwa nie są minioną przeszłością. Warunków, w jakich żyła ludność w Protektoracie Czech i Moraw i na ziemiach polskich pod niemiecką okupacją, nie da się porównać. Z drugiej strony ciekawostką może być fakt, iż istniała ogromna dysproporcja między niewielkim ruchem oporu w Protektoracie a represjami, łącznie z egzekucjami wobec czeskich elit.

**W Protektoracie Czech i Moraw ukrywał się przez pewien czas również Władek Opiola, bohater tytułowego opowiadania „Lutyńskie tango”.**

Władek był niezwykle utalentowanym muzykiem, studentem konserwatorium w Ostrawie. Piosenkę *Lutyńskie tango* skomponował w swoim domu. Kiedy później ukrywał się w wiosce pod Pragę, udało mu się ten utwór nagrać na płytę. W liście do mamy pisał, że jego najszczęśliwszym dniem będzie ten, w którym zagra w radiu, a ona w Lutyni go usłyszy.

Płyta z tangiem się zachowała, pożyczyłam ją i nagraliśmy w radiu nową wersję. W 1980 r. rozbrzmiała w naszej audycji. W ten sposób przynajmniej częściowo spełniło się życzenie Władka. Niestety jego mama już tego nie usłyszała. Zginęła razem z ojcem w obozie koncentracyjnym.

**Czy masz okazję poznawać reakcje czytelników na Twoją książkę?**

Na spotkania autorskie często przychodzą osoby w jakiś sposób związane z bohaterami opowiadań. Z reguły bardzo się cieszą, że ich rodzinne historie zostały zachowane i są dumni ze swych krewnych czy znajomych. Zadzwoiła też do mnie pani Veronika, której, za sprawą czeskiej wersji książki, udało się zidentyfikować w rodzinnym albumie osobę z fotografii. Okazało się, że chodzi właśnie o muzyka Władka Opiolę. Przysłała mi jego dotychczas niepublikowane zdjęcie w ogrodzie z akordeonem. Pani Veronika jest Czeszką. Wychowywała się u babci, z którą rozmawiała w polskiej gwarze, i w pierwszej klasie czeskiej szkoły miała kłopoty z językiem czeskim. Od pewnego czasu interesuje się historią swej rodziny. Pytała, jak to możliwe, że połowa rodziny była tak bardzo patriotyczna – polska, a druga część uważała się za Czechów.

Zaartowała, że może odezwały się w niej „polskie geny”. Jej ulubionym serialem jest *Czas honoru*, interesuje się historią Polski i ma już gotowe drzewo genealogiczne swojej czesko-polskiej rodziny.

**Ucieszył Cię taki odbiór?**

Powiedziałam jej, że dla takich osób pisałam. Aby po latach, może już nie bezpośredni potomkowie, ale kolejne pokolenia zainteresowały się swymi korzeniami i tym, że w ich miejscowości mieszkali Polacy.



Kinga Kościak

## Wywołać

Rozmowa z **Jackiem Piekietko**,  
autorem książek kryminalnych na faktach



**Kinga Kościak:** Jacek Piekietko, autor thrillerów, kryminałów i literatury grozy – to Twój opis na Facebooku. Czy dodałbyś do niego coś jeszcze?

**Jacek Piekietko:** Chyba muszę nieco zaktualizować ten krótki opis. Obecnie literaturę grozy zastąpiłbym *true crime*, ponieważ dawno już nie napisałem horroru, natomiast mocniej zagościłem w historiach opartych na prawdziwych wydarzeniach.

O tak, to istotne. Teraz coś ode mnie: dziewięć powieści na koncie (9 w drodze, jedna właśnie się ukazuje), wciągające fabuły, sympatia czytelników, nominacje do licznych nagród, laur w konkursie na opowiadanie kryminalne Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu. Czy tak można określić Twoje dotychczasowe osiągnięcia w kategorii pisarz? A może masz coś do dodania?

Z tymi nominacjami raczej bym nie przesadzał, nie ma ich aż tak wiele. Najważniejsze dla mnie są pozytywne głosy oraz powiększające się grono stałych czytelników. Piszą do mnie, a nawet odwiedzają podczas targów książki osoby, które przeczytały wszystkie moje powieści. W takiej sytuacji czuję ogromną wdzięczność, bo to świadczy o tym, że praca nie poszła na marne. I oczywiście sam akt tworzenia historii, mozolne pisanie sprawiają mi ogromną frajdę.

## dreszcz

Nie dziwię się pasjonatom literatury Jacka Piekietko. Podsunęłam kilka Twoich powieści do przeczytania swojej mamie, gustującej w dawnym kształcie kryminałów (Agatha Christie, Arthur Conan Doyle), wciągnęło ją! A dlaczego thrillery, groza? Co Cię skłoniło do wybrania tego gatunku?

Chyba zainteresowanie tym, co tajemnicze, nieodgadnione. Zawsze lubiłem doświadczać lektury niemal fizycznie, gdy ciarki przechodziły po plecach podczas czytania się powieściami grozy. Twórczo fascynowała mnie również literatura polskiego prekursora horroru – Stefana Grabińskiego. Jego *Opowieści niesamowite* to coś wyjątkowego na mapie literatury, nie tylko rodzimej. Mam wielki szacunek do osób próbujących sił w literaturze grozy. Trzeba być naprawdę dobrym i odważnym pisarzem, aby umieć wywołać dreszcz.

📷 Archiwum prywatne  
Jacka Piekietko

**Kinga Kościak**

– literaturoznawczyni,  
krytyczka literacka i teatralna,  
poetka, tłumaczka snów.

**Idziesz jak burza, masz 35 lat, a na swoim koncie dziewięć powieści. Jak widzisz swoją dalszą ścieżkę pisarską?**

Na razie wciąż *true crime*, ponieważ trafiłem na temat, na który niektórzy pisarze czy dziennikarze czekają całe życie. Nie mogę na razie za wiele zdradzić. Ale współpracuję z człowiekiem, którego życiorys to niemal gotowy scenariusz filmowy. Piszę więc powoli powieść *true crime*, jakiej jeszcze na naszym rynku nie było. Gorąco wierzę, że o tej książce będzie naprawdę głośno.

**Brzmi trochę fascynująco, a trochę przerażająco. Pewnie musi ciągnąć Cię do ludzi z cienia, tajemnicy... Poszukując informacji o Tobie, dogrzebałam się enigmatycznych wtrąceń o prowadzeniu Klubu Książki w bielskim Areszcie Śledczym. Brzmi ciekawie. Pokażesz nam trochę siebie poza byciem autorem?**

Klub Książki w Areszcie Śledczym w Bielsku-Białej to dawne dzieje. Dobrze wspominam tamten czas, nowe doświadczenie, które nauczyło mnie przede wszystkim empatii i otwartości na drugiego człowieka.



Co lubię robić w wolnym czasie? Gdy tylko jest możliwość i ładna pogoda to rower. Lubię też gotować, spotkać się ze znajomymi, czyli zwyczajne aktywności. I rzecz jasna – dobra książka oraz film.

A od czterech lat większość wolnego czasu spędzam z moimi dziećmi, które szybko dorastają, jak to bywa z perspektywy rodzica. Dzięki temu można wymyślać im coraz ciekawsze zajęcia.

**Dobrze to rozumiem, a jednocześnie podziwiam. Muśisz świetnie godzić życie zawodowe z rodzinnym, bo nie zatrzymujesz się i pół roku po publikacji ostatniej książki *Czerwonec*, zapowiadasz, że kolejna *Gdy prawda milczy* ukaże się w maju tego roku. Zdradzisz nam coś więcej?**

*Gdy prawda milczy* dotyczy prawdziwej, dramatycznej historii, którą w 2007 r. żyli Czesi i nie tylko. Poruszyłem temat tak zwanej Kuřimskiej kauzy. Ta sprawa wciąż wzbudza mnóstwo kontrowersji, ponieważ pomimo wyroków skazujących, osoby uczestniczące w przestępstwie wciąż skrywają niemało tajemnic i wiele ich motywacji nie zostało wyjaśnionych.

Spoglądam na tę historię z nieco innej perspektywy niż autorzy artykułów czy materiałów wideo, dotyczących sprawy dzieci z Kuřim. Przedstawiam historię kobiety, matki dwójki chłopców, która decyduje się na adopcję 13-letniej dziewczynki. Całe jej życie zmienia się niespodziewanie w koszmar, a to tylko wierzchołek góry lodowej.

To zaskakująca, przewrotna historia, z wielkim cierpieniem niewinnych osób – najmłodszych, co jest szczególnie poruszające.

**Dramatycznie i enigmatycznie, świetny materiał na powieść, choć osobiście staram się stronić od podobnych historii. Obecnie dużym zainteresowaniem cieszą się podcasty i różnego typu programy, zajmujące się opowiadaniem i rzetelnym przedstawianiem rzeczywistych zbrodni, zaginięć, głośnych procesów. To może inspirować autora książek grozy, budzić potrzebę przetwarzania tych wydarzeń, ich drażnienia – szczególnie w psychice sprawcy. Czy jesteś nałogowym odbiorcą podobnych podcastów? I skąd jeszcze bierzesz inspirację? Bo zakładam, że stąd również, patrząc na Twoje ostatnie powieści.**

Słucham podcastów, ale o dziwo, nie tych, które dotyczą *true crime*. Lubię po prostu rozmowy z ciekawymi ludźmi, czyli podcasty Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego, Karola Paciorka, Żurnalisty, Przemka

Górczyka czy też Zaprojektuj Swoje Życie – Macieja Filipkowskiego.

Zdarza się, że przesłuchuję podcasty poświęcone sprawie, którą się zajmuję. Ale robię to na końcu pisania albo wtedy, gdy wykonam własny research. Nie chcę się za bardzo sugerować tą twórczością. Używam słowa „twórczość”, ponieważ przekonałem się, że wielu autorów tego typu słuchowisk niekoniecznie przedstawia rzetelnie fakty.

Oczywiście jest też wiele rodzajów podcastów kryminalnych. Sam wiem, że czasami trzeba nieco ubarwić historię, aby była lepiej przyswajalna dla odbiorcy. Dlatego nie mogę polegać na podcastach *true crime* jako źródle mojej pisarskiej pracy. Korzystam z bardziej sprawdzonych źródeł, by następnie samemu dokładać potrzebne warstwy fabularne.

**Twój dokładny research obejmuje też penetrację terenu. Widziałam na Facebooku, jak buszujesz wśród chaszczy, poszukując materiałów do *Gdy prawda milczy...* Czy zawsze tak wygląda Twoje przygotowanie się do pisania? Potrzebujesz zanurzyć się w historii i czasem umazać (też symbolicznym) błotem? Opowiesz coś o swoim procesie pisania?**

Najpierw mocno pracuję nad dokumentacją w tradycyjnej formie, czyli gazety, Internet, akta sądowe, filmy, książki. Następnie, jeśli jest taka możliwość, staram się wybrać do miejsc ważnych dla danej historii. W przypadku, o którym mówisz, odnalazłem miejsce położenia chaty w Veverskiej Bityńce, nieopodal Brna. Nie było to łatwe zadanie.

Świetnym doświadczeniem jest wizyta w miejscu, które opisujesz w powieści. Możesz poczuć niepowtarzalny klimat. A jeśli wiesz, co tak naprawdę się tam wydarzyło – w tym przypadku we wspomnianej chacie – włos jeży się na głowie jeszcze bardziej. To naprawdę miejsce z ponurą, okrutną historią...

**Jestem świeżo po lekturze *Nieskazitelną*, której akcja rozgrywa się w Twoim (i przy okazji moim) rodzinnym mieście Bielsku-Białej. Nie ukrywam, że dobrze mi się to czytało. Podając nazwy konkretnych osiedli, miejsc, ulic, rozbudowujesz literacką historię naszego miasta, a prócz tego pozwalasz osobom znającym je, wgryźć się w atmosferę... Czy Bielsko jest łatwym współpracownikiem Twojego rzemiosła? Nadaje się na miejsce akcji książek grozy?**

Bielsko-Biała to znakomite miasto. Nie tylko do życia, ale również, jak zauważyłaś, do literackich przygód. Na



razie jeszcze nie eksplorowałem naszego miasta zbyt mocno. Pojawiają się wzmianki i akcja też po części toczy się w Bielsku-Białej w powieściach *Wymazani*, *Białe Słoń* czy *W złej wierze*.

Od pewnego czasu chodzi mi po głowie pewien pomysł na *horror crime* z mocnym akcentem historycznym, którego wydarzenia umiejscowione byłyby w Bielsku-Białej. Zwłaszcza, że to miasto ma tak bogatą historię, związaną z wieloma inspirującymi postaciami. I właśnie na pewnej prawdziwej postaci chciałbym oprzeć tę historię, ale jeszcze zbyt wcześnie, by o tym mówić. Na razie pomysł jest w mojej głowie, niespisany i jak dotąd wciąż o nim pamiętam. To dobry prognostyk.

**Trzymam kciuki i coś czuję, że po taką książkę sięgnęliby z chęcią również czytelnicy, którzy niekoniecznie gustują w literaturze grozy. A już na pewno bielszczanie. Pewnie niektórym, podobnie jak mnie, wyjątkową przyjemność sprawia lektura z fabułą osadzoną w dobrze znanych realiach. Przeprowadzałam niedawno podobną rozmowę z innym bielskim pisarzem thrillerów Sablikiem (patrz RI 4/2023) i spytałam o ulubione miejsca w Bielsku-Białej, które inspirują do pisania właśnie w tym gatunku. Znasz i masz w mieście takie miejsca o specjalnej, pewnie mrocznej, zagęszczonej aurze, energii?**

Podczas spotkań z czytelnikami  
📖 Archiwum prywatne Jacka Piekiełko

Najnowsza książka autora,  
premiera 15 maja  
📖 Archiwum prywatne  
Jacka Piekiełko

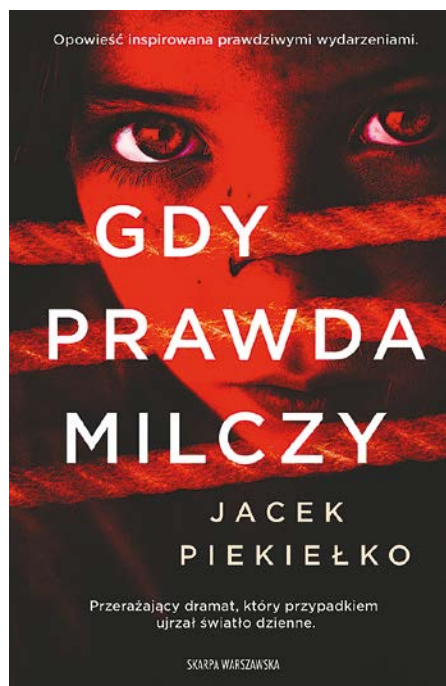
Tomasz to świetny pisarz, znakomity w powieściach grozy. W ostatnim czasie zdecydowanie odszedłem od horroru, chociaż wciąż chętnie sięgam po niektóre narzędzia i kategorie estetyczne przynależne do tego gatunku. Mam wiele takich miejsc, niektóre uliczki Bielska-Białej tworzą niepowtarzalną atmosferę; tereny blisko trakcji kolejowej, tereny wzdłuż rzeki Białej za Mikuszowicami Krakowskimi, Olszówka Górna, Kamienica, Szyndzielnia, lotnisko Aleksandrowice, Górne Przedmieście, Hałcnów...

Gdzie nie spojrzę, są uliczki, budynki i roślinność, tworzące wyjątkowe miejsca z własną, niepowtarzalną aurą. Wciąż odkrywam nowe drogi, z których na wiele punktów miasta można spojrzeć z całkiem nowej perspektywy.

Pewnie spore znaczenie dla budowania atmosfery thrilleru ma fakt, że jesteśmy otoczeni górami i pokrywającymi je lasami. Zauważyłam, że lubisz umieszczać akcję swoich książek w małych, górskich domkach. Według psychoanalityków las symbolizuje ludzką nieświadomość, a nieraz również zamieszkujące je demony lub dobre duchy. Czymś takim ten symbol jest dla Ciebie? Dla mnie, z uwagi na powieści, które piszę, oddalony dom w lesie niesie ze sobą jeszcze jedno znaczenie – symbolizuje coś ukrytego przed światem. Coś, co dzieje się tylko w czterech ścianach. Zło, które trudno odkryć. Swoim pisaniem staram się uwrażliwić na ludzkie cierpienie. Pokazać, że tuż obok nas, w niedalekiej odległości mogą dziać się przerażające dramaty. Między innymi dlatego napisałem książkę *Gdy prawda milczy*.

Zauważyłam, że świetnie budujesz osobowości postaci. To nie są wydumski, tylko bohaterowie z krwi i kości. I zdecydowanie bronią się psychologicznie. Czy dobrze czuję, że szczególnie mocno pociąga Cię ludzka psychika, że to Twój konik, na którym przeprowadzasz szarżę przez całą fabułę?

Psychologia jest dla mnie bardzo ważnym elementem budowania postaci i tak jak zauważyłaś, staram się, aby stanowiła szkielet, na którym opierają się moi bohaterowie. Nie ukrywam, że od czasu do czasu lubię przeczytać książkę psychologiczną, traktującą o danym zagadnie-



niu, zwłaszcza gdy przygotowuję się do pisania. Poza tym autor powieści musi być dobrym obserwatorem, samodzielnym psychologiem, by móc wyciągać wnioski na temat różnych zachowań człowieka, a później przetransformować je na postaci z fabuły.

**Wybierasz mocne, zdeterminowane postacie. Niejednokrotnie ze skomplikowaną, trudną historią. Czy one rodzą się w Twojej głowie, czy też budujesz je na podstawie prawdziwych biografii?**

Raczej wymyślam i buduję z elementów, o których wcześniej mówi-

łem, czyli uważnej obserwacji. Korzystam też z researchu, gdy mówimy o prawdziwie istniejących postaciach. Staram się zawsze budować wyrazistych bohaterów, ale nie jest to łatwe i zdaję sobie sprawę, że na tym polu mam jeszcze wiele do zrobienia.

**Rzeczywiście, widać u Ciebie pasję pisania i ogromny apetyt w tym zakresie. Spędziłaś ostatni miesiąc wśród Twoich kreacji literackich. Udostępniłaś mi przed wywiadem sporą część swojego dorobku – dziękuję. I w tym miejscu, wśród tych książek, widząc Twój zapał i talent, czytając pochlebne opinie czytelników, muszę zapytać, czy pisanie daje Ci satysfakcję? Czy czujesz się osobą spełnioną zawodowo? A może to pole wypełniasz jeszcze w inny sposób?**

Pisarz nie może być spełniony. Tak uważam. Pisanie rodzi się z pewnych braków, dążeń, marzeń i wyznaczonych celów. U mnie jest to przede wszystkim pasja oraz marzenie, by praca nad książką wypełniała znaczną część mojego dnia. Chciałbym zawodowo tak poukładać swoje życie, aby móc więcej czasu poświęcić na pisanie.

Kończąc już naszą rozmowę, za którą bardzo dziękuję, życzę Ci, sobie i naszym czytelnikom więcej dobrych książek, które równie świetnie jak Twoje będą oddawać realia naszego specyficznego i momentami chyba mrocznego (a przynajmniej tajemniczego) miasta.

Bardzo dziękuję i pozdrawiam wszystkim czytelników „Relacji-Interpretacji” oraz osoby tworzące kwartalnik. **Dziękujemy i czekamy na więcej.**



## Magdalena Legendź

Teatralne życie Bielska-Białej jest ciekawe i nie ustępuje dużym ośrodkom akademicko-teatralnym. Teatr nie tylko wyczuwa trendy, ale też chce mówić o rzeczach ważnych, którymi żyje społeczeństwo. Świadczą o tym spektakle zaproponowane w mijającym sezonie przez obie bielskie sceny: Teatr Polski i Białalukę. Niektóre z nich zostały dostrzeżone przez krytykę i środowisko teatralne, wyróżnione bądź nagrodzone.

Oba teatry od września 2023 do początku czerwca 2024 r. zrealizowały po trzy premiery, skierowane do widzów o różnych potrzebach i kompetencjach odbiorczych. Scena dramatyczna dwie „poważne, do myślenia” i jedną komedię. To dobre proporcje, tym bardziej że rozgraniczenie to jest dość umowne, do czego jeszcze wrócimy. Scena lalkowa przygotowała na początku sezonu spektakl dla najmłodszych, opisany już na tych łamach *O mniejszych bractwach św. Franciszka* (patrz RI 4/2023), jedno przedstawienie dla starszych dzieci od lat 10 oraz jedno dla młodzieży i dorosłych – to także bardzo dobre proporcje.

### Z namysłem i troską

Wojna. Ta prawdziwa, tuż za naszą granicą, wybuchła w lutym, ponad dwa lata temu. W teatrze wojna jest obecna w mijającym sezonie w różnej formie i zakresie. Zaczęła się *Ślubem* Witolda Gombrowicza w reżyserii Agaty Biziuk, za którą to reżyserię twórczyni otrzymała Złotą Maskę 2023.

W „wojennym” zestawieniu tego znakomitego przedstawienia nie można pominąć, choć zrealizowany został nieco wcześniej. Raz, że był nominowany do tej prestiżowej wojewódzkiej nagrody teatralnej w czterech kategoriach, w tym najważniejszej – jako spektakl roku, ponadto nominacje otrzymali scenografka Mariaka Wojciechowska i Radosław Sadowski za rolę Henryka. Twórcy widowiska zostali też uhonorowani Laurem Dembowskiego za wybitną zespołową kreację, nagrodą bielskiego oddziału ZASP, a być docenionym przez własne środowisko to wielka sztuka. Dwa, że premiera miała miejsce pod koniec marca 2023 r. i spektakl zagrano w poprzednim sezonie niewiele razy. Można go



# W teatrach

# wojna trwa

więc zaliczyć do kolejnego sezonu. Jednak wojewódzcy urzędnicy operują rokiem kalendarzowym, dlatego też już go odfajkowali.

Dlaczego ten *Ślub* trzeba zobaczyć? Ponieważ jest to wstrząsające widowisko plastyczne odwołujące się do prymarnych emocji, poprzez które wydobywa

*Antygona* w Teatrze Lalek Białaluka; odtwórczyni tytułowej roli Martyna Gajak  
📷 Dorota Koperska



Do piachu w Teatrze Polskim

Wojna dekonstruuje świat na wszystkich płaszczyznach: dom staje się karczmą, narzeczona – dziwką, ojciec – tyranem. Pod maskami i gombrowiczowskimi „gębami” trudno już rozpoznać to, co ludzkie. Wojna niszczy zaufanie i podważa dorobek kultury humanistycznej i cywilizacji judeochrześcijańskiej. Unieważnia wszystkie wartości, które okazują się iluzoryczne i płynne. Świat wojennej traumy dzieje się, być może, w głowie Henryka, który mówi o sobie, że jest dzieckiem wojny.

*Jest mnóstwo mężczyzn, którzy idą na front i nawet jeśli wrócą, to już nie będą ci sami ludzie. On w jakiś sposób umierają* – mówiła dziennikarzom Agata Biziuk.

W nieco podobny sposób mówi o skonfliktowanej współczesności *Antygona* w reżyserii Gosi Dębskiej, z interesującą scenografią Marty Bartosik. Premiera odbyła się w Banialuce na początku marca br.

Na scenie jest już po wszystkim: zwycięzcy górują nad przegrzonymi i rozdziela ich mur z worków piasku, znany z medialnych doniesień z teatru działań współczesnych wojen. Jak się okazuje potem, to także poduszki miłosnego łoża rozdzielonych przez śmierć (i bezduszne prawo) narzeczonych. Władza przemawia z trybuny (świetny Tomasz Sylwestrzak jako Kreon), trochę podobnej do ringu. Jednak walka, jaka w jej obrębie się toczy – ojca z synem, starego z nowym,

prawdę o człowieku. Oniryczny, mroczny klimat ewokują wszystkie środki teatralne – scenografia i karykaturalne kostiumy Krystyny L. Szydłowskiej, także autorki niezwykle precyzyjnego ruchu scenicznego, wyjątkowo trafne projekcje Tomasza Czołpińskiego i nieoczywista, przejmująca muzyka, a właściwie warstwa dźwiękowa skomponowana przez Piotra Klimka.

prawa z miłością, jest z góry rozstrzygnięta. To, co prywatne, kobiece, nie ma w starciu z polityką jako domeną mężczyzn żadnych szans. Komentujący akcję antyczny chór, pięknie brzmiący w stylu etno-wschodnio-karpacim, też złożony jest wyłącznie z aktorek. To bardzo aktualne odczytanie i bez obsuwania się w publicystykę.

Nie ma w tym spektaklu lalek, grają rekwizyty i przedmioty, a ludzie – to marionetki, które ruchem, momentami jakby niepotrzebnym, absurdalnym, ukazują swoją obcość w zdegradowanym świecie. Na proscenium będącym brzegiem morza, przegrani – pytanie, czy także w sferze moralnej? – bo nowy przekład Antoniego Libery zdaje się nie podkreślać tego aspektu – obcują na zgłiszczach z czaszkami poległych. Gdy patrzy się na te „płaczki”, na usta ciśnie się komentarz – tekst Jacka Kaczmarskiego – *Piaski, piaski dawno przeszły po was wojska w sławie i nie chcą zasnąć rozrzucone czaszki po zabawie, wciąż się śmieją i rozumieją bez słów*.

## Drapieżnie

Mówiąc ze sceny o wojnie, twórcy podejmują różne aspekty konfliktu i przemocy oraz różne ich etapy. Jeśli *Ślub* i *Antygona*, przynoszą porażający obraz spustoszeń, jakich wojna dokonuje w człowieku, to *Kabaret* jest ostrzeżeniem przed ksenofobią i faszyzacją życia, które dopiero przerodzić się może w zbrojną agresję, a *Do piachu* ukazuje egzystencjalną sytuację graniczną w trakcie trwania działań wojennych.

O ubiegłoroczne Złote Maski otarli się Marta Gzowska-Sawicka i Adam Myrczek nominowani za role Mistrzów Ceremonii w spektaklu *Kabaret* w reżyserii Małgorzaty Warsickiej, z choreografią Anny Godowskiej i scenografią Natalii Mleczak. To oni ustawili warsztatową poprzeczkę całemu zespołowi niebywale wysoko. To oni też byli „zawiadowcami” zmieniającego się politycznego i społecznego klimatu w przedstawieniu. Są jak dwa przyciągające się i odpychające bieguny. Ich androgyniczne kostiumy i zachowania, gesty i miny niepokoją i zaskakują, odsyłając do współczesnej obsesji niebinarności.



Marta Gzowska-Sawicka i Adam Myrczek jako Mistrzowie Ceremonii w *Kabarecie* w Teatrze Polskim

## Magdalena Legendź

– teatrolożka, recenzentka, felietonistka, redaktorka książek i czasopism, współpracowniczka czasopism „Teatr” i „Teatr Lalek”.

Burzliwe życie Berlina lat 30. ubiegłego wieku pokazano na dwóch poziomach szarych mansjonów. U góry toczy się zwykle życie mieszkańców kamienicy Frau Schneider (dobra Anna Guzik-Tylka), na dole trwa żywiołowa zabawa w kabaretach i tingel tanglach stołecznego miasta. Tam też gra muzyka na żywo, a kurtyna z szyderczo wykrzywionymi ustami i deformujące obraz lustra są dopełnieniem dekadentckiego klimatu. Miłosne historie bohaterów zbiegają się z dojściem do władzy nazistów. Czy i my jesteśmy w przededniu takiej katastrofy? – zdają się pytać twórcy widowiska.

Jeśli w filmie o dreszcz grozy przyprawia pozornie sielska scena pikniku i piosenka *Tomorrow belongs to me* (*Jutro należy do mnie*) zainicjowana przez młodzieńckiego członka Hitlerjugend, to w teatrze mamy przejmującą scenę zbiorową, w której frywolny, rozerotyzowany i rozbawiony tłum nakładając opaski ze swastyką, w mgnieniu oka staje się karną, ponurą armią heilującą swemu Führerowi.

Nie jest to musical, jak na Broadwayu czy w filmowym hicie Boba Fosse’a, choć wszystkie znane i lubiane piosenki zostały na nowo zaaranżowane i zinterpretowane przez aktorki i aktorów (m.in. udanie przez Wiktorię Węgrzyn-Lichosyt jako Sally Bowles). Dwa utwory, w tym słynne *Money, money*, przetłumaczone przez aktorów Martę Gzowską-Sawicką i Grzegorza Margasa, zyskały współczesny pazur.

## Politycznie

*Do piachu* to dramat Tadeusza Różewicza, który partyzancką rzeczywistość znał z autopsji. Drastyczny, brutalny, obrazoburczy przekaz dramatu był od początku powodem, że różne środowiska były niechętnie oskarżanemu o szarganie narodowych świętości pisarzowi oraz teatrom zainteresowanym demitologizacją niepodległościowego podziemia. Spektakle zdejmowano, twórców oczerniano, a Kazimierz Kutz, który ośmielił się zrealizować widowisko na małym ekranie, utracił stanowisko szefa Teatru Telewizji. Jest to więc dopiero czwarta realizacja, bo autor nie udzielał teatrom zgody. Poprzednia, równo 20 lat temu miała miejsce w Lublinie (ale zjeżdżała cały teatralny, festiwalowy świat) i wyszła spod ręki tych samych, co obecna, reżyserów – Witolda Mazurkiewicza i Janusza Opryńskiego.

Spadkobierczyni pisarza zgodziła się na wystawienie dramatu i realizatorzy wykonali coś w rodzaju „wznowienia”. Zachowali scenografię (pokrewną nieco estetyce Kantora czy Szajny) – na pustej scenie przestrzeń gry



wyznacza spora drewniana platforma na wielkich kołach, będąca w różnych konfiguracjach wozem, ziemianką, pryczą, pagórką, wreszcie norą, w której trzymano Walusia przed wykonaniem wyroku. Reaktywując tamto przedstawienie, dodali dwóch aktorów, dzięki czemu lepiej polaryzują się postawy – warto zwrócić uwagę na Komendanta (Grzegorza Sikory) i na Kilińskiego, oficera ds. propagandy (Michała Czaderny).

Ale cóż, gdy się człowiek za wiele spodziewa, często przychodzi rozczarowanie. Historia i wojny się nie skończyły, a zainteresowanie ludowymi dziejami Polski jest mocnym trendem ostatnich lat. Brakuje tu więc jakiejś nowej diagnozy, przewartościowania, mocniejszego liftingu. Mimo to przedstawienie trzeba obowiązkowo obejrzeć. Choćby dla obrazu zagubionych w leśnym mroku – ostepach historii – okutanych w maskujące szmaty partyzantów. Ten las niosą w przenośni i dosłownie na barkach, przytłacza ich, bo wojna nie jest ani dziarską męską przygodą, ani internetową strzelanką, ani pieśnią o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilkego, którą dla kontrastu śpiewa przy wtórze liry korbowej Lirnik (Adam Myrczek).

Warto też obejrzeć spektakl dla Walusia Sławomira Miski, który z pełną świadomością aktorskich środków stworzył pełnokrwistą sylwetkę „głupiego, śmierdzącego parobka – jak pisał sam Różewicz o tej postaci – ludzką kreaturę godną pogardy”. I jak autor zalecał, potraktował ją z miłością. Skazany na śmierć za „bandziorkę” Waluś nie ma świadomości dobra i zła, jest odrażający i wzruszający zarazem. Wbiją w fotel.

Elementy naturalistyczne, ordynarne i prostackie odgłosy i zachowania łączą się w spektaklu z poetyckimi odwołaniami do Chrystusowego krzyża i ofiary czy do patriotyczno-romantycznego XIX-wiecznego entourage’u. Jak w życiu.

*Poszukiwany, poszukiwana*  
w Teatrze Polskim

📷 Dorota Koperska

## Nostalgicznie

Trwająca od kilku lat moda na PRL-owskie wzornictwo szturmem wzięła media społecznościowe i zaważnęła konsumencką wyobraźnię. Polacy zapragnęli mieć w domach fotele Chierowskiego i szkło z „Hortensji”. Tamte nieodległe czasy chętnie oglądają w teatrze. W Toruniu wystawiono nie tak dawno *Bareję nocną porą*, w warszawskiej Rampie można zobaczyć *Czterdziestolatka*, a Teatr Polski w Bielsku-Białej zaproponował teatralną adaptację filmu Stanisława Barei *Poszukiwany, poszukiwana*, anektując popularny tytuł.

Spektakl w reżyserii Pawła Szkotaka jest zabawny i nostalgiczny, a grający tytułową rolę Michał Czaderna czarujący zarówno w męskim, jak i w damskim wydaniu. Zasłużenie uhonorowany został za nią Nagrodą im. Leny Starke, przyznawaną przez katowicki oddział ZASP. Jego Stanisław Maria Rochowicz, historyk sztuki, który mierzy się z tym, jak być kobietą pod presją peerełowskiej rzeczywistości polityczno-społecznej, w żaden sposób nie naśladuje kultowej i zadomowionej już w mejach postaci stworzonej przez Wojciecha Pokorę. Nie przerysowuje, nie ośmiesza na siłę – a wraz z nim cały zespół gra inteligentnie i ze smakiem. Bawią nie tylko znane „szlagworty” w rodzaju „mój mąż z zawodu jest dyrektorem” (w roli dyrektora świetny Piotr Gajos), ale też dodane regionalizmy: Marysia mówi, że jest „z Komorowic”, a artysta, którego obraz zaginął, co stało się przyczyną scenicznych perypetii, to „Picasso z Pszczyny”.

Klimat epoki oddaje funkcjonalna, trochę w klimacie rysunków Daniela Mroza, scenografia Damiana Styrny: proste bryły wraz z klimatycznymi efektami multimedialnymi Eliasza Styrny to blokowisko z wielkiej płyty.

*Mały Książę*  
w Teatrze Lalek Białaluki  
📷 Dorota Koperska



Świetnie uzupełniają to stylizowane kostiumy i rekwizyty oraz piosenki z tamtych lat, m.in. Alibabek czy wczesnego Krzysztofa Krawczyka i dynamiczna choreografia. Zabawa gwarantowana, niezależnie od PESEL-u widza. Przy tym spektakl nie mitologizuje siermiężnych w gruncie rzeczy czasów „słusznie minionego” reżimu, ale dyskretną kreską ironii pokazuje, jak niewiele zmieniło się w relacjach damsko-męskich, jak tkwimy w podziałach, stereotypach i jak dobrze ma się patriarchat.

## Niekonwencjonalnie

Kwietniowa, ostatnia premiera Białaluki *Mały Książę* w adaptacji i reżyserii Filipa Jaśkiewicza ze scenografią Katarzyny Leks, nie jest, jak można by się spodziewać delikatna i efemeryczna jak róża. Kanciasta forma jednak nie tylko nie przeszkadza poetyckiej treści, ale ją dodatkowo uwydatnia poprzez wieloznaczność i wielofunkcyjność scenicznych obiektów.

Planety, które odwiedza mały przybysz z odległej gwiazdy, tworzą wielościany z jasnej sklejkі z wyciętymi w różnych miejscach otworami. Z jednej strony przywołuje to dziecięce zabawy klockami, z drugiej odсылa do budowania – także jako nieodłącznego elementu stwarzania społecznych relacji międzyludzkich więzi.

To właśnie usiłuje czynić *Mały Książę*. Rozmowa, współdziałanie, empatia i zaufanie to wszystko jest podwaliną przyjaźni. Innego trzeba najpierw jednak ośwoić. To uniwersalne przesłanie adresowane jest do widzów w każdym wieku i niezależnie od niego te sceny z udziałem Konrada Ignatowskiego jako Lisa robią wrażenie.

Oryginalne, nieoczywiste rozwiązania kolejnych etapów wędrówki i spotkania z mieszkańcami niepowtarzalnych planet, przybliżają tytułowego bohatera granego przez Macieja Jabłonowskiego do odkrycia prawdy, że najważniejsze jest niewidoczne dla oczu. Nieograniczona dziecięca wyobraźnia, do której odwołują się twórcy widowiska, bez trudu dopatrzy się baranka w drewnianym prostopadłościanie. Precyzyjna animacja geometrycznych brył, błyskotliwe operowanie światłem i zespołowość gry aktorów, spośród których wyróżniają się Piotr Tomaszewski jako Pilot i Dagmara Włoszek-Rabska jako Róża.

A zatem, jak było w bielskich teatrach? Niekonwencjonalnie, nostalgicznie, drapieżnie, politycznie, ale też troskliwie i z namysłem.



# Hommage à Tadeusz Modrzejewski



27 marca odszedł twórca Muzeum Literatury im. Władysława Stanisława Reymonta w Bielsku-Białej przy ul. Pankiewicza 1 na Starym Mieście. Tadeusz Modrzejewski – rękopisarz, malarz, rzeźbiarz. Prawdziwy pasjonat. Nietuzinkowa postać. Laureat orderu kanadyjskiej Fundacji Władysława Reymonta. Od 1989 roku przepisał i zilustrował ponad 120 dzieł literatury polskiej (m.in. *Chłopów* Władysława Reymonta, *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza, *Trylogię* Henryka Sienkiewicza). Jego rekordem było 14 godzin pisania: *Przyszedłem tu we wtorek, a wyszedłem w środę*, wspominał. Kochał wiosnę. To wtedy zaświecał się słynny witraż z Reymontem, przez który do muzeum wpadało jedyne światło słoneczne.

O sobie i ukochanym nobliście zwykł mówić tak: *On urodził się 7 maja, ja 8 czerwca. Jeden dzień, jeden miesiąc, jedną epokę później. On jako czwarty z rodzeństwa, ja piąty. Wszystko o jeden. Mistrz i uczeń. Z niego na siłę zrobili krawca, ze mnie tkacza. On umiera w 1925, ja rodzę się w 1952.*

Zmarł rok przed obchodami 100-lecia śmierci Władysława Reymonta. Przypadek? Pewnie za bramą snów i marzeń spotkał się już ze swoim mistrzem.

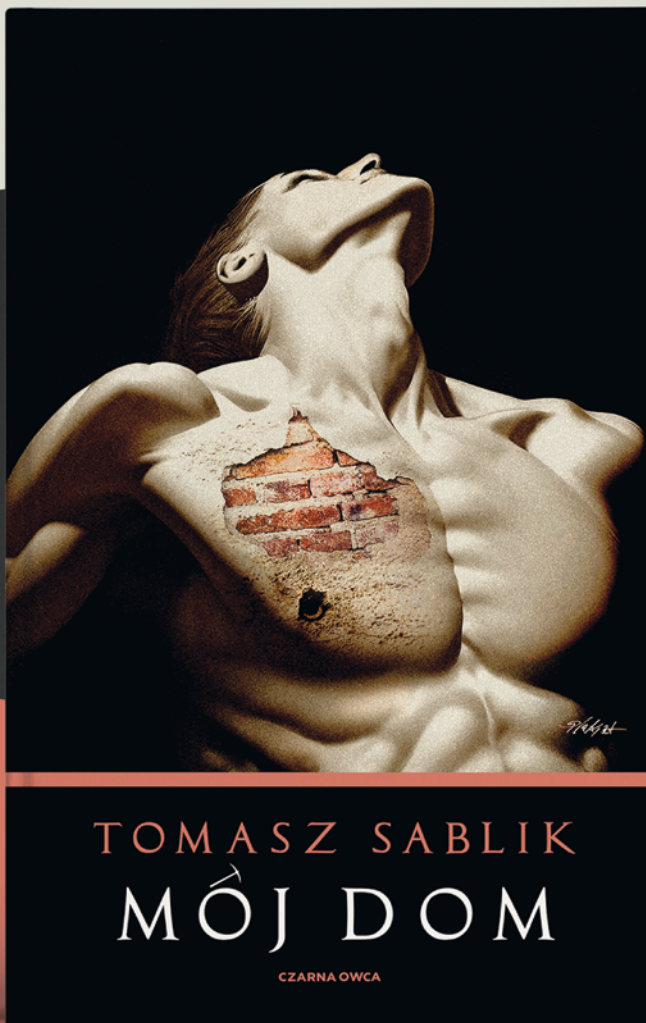




Film  
*Życie ze snów*



Pełna tajemnic i czarnej magii  
**podróż przez mrok i lęk w głąb  
ludzkiego umysłu....**



WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

*Opowieść o odwadze w obliczu nieznanego i poszukiwaniu prawdy. O cieniach i nieświadomości. Stary dom, nawiedzony dom, jego dom. To tu przeszłość łączy się z teraźniejszością. To te ściany budują jego traumy i wyparte wspomnienia. W tym domu musi odnaleźć siebie. Tajemnicza, przeszywająca, ponura... Horror psychologiczny od Tomasza Sablika to prawdziwy przysmak!*

**Olga Kowalska**

**WIELKI  
WB BUK.com**